







Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-32798



001-0037660--00

W WALCE Z POHAŃCAMI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

E. Zorjana.

8
~~~~~  
WYDANIE DRUGIE.  
~~~~~

KIJÓW.

1896.



Дозволено цензурою. Київ, 5 сентября 1895 г.



A-32798

37660

1025

Panu

Gustawowi Kaszycowi

w dowód przyjaźni

ofiaruje

Autor.



CENTRALA BIBLIOTEK
RUCHOMYCH
D. O. K. VIII. TORUŃ,



Nad rzeką Stryjem, dwie mile od miasta tegoż nazwiska, w okolicy lesistej i pagórkowatej leżała mała wioska Rudka Grabowa. Chat w niej nie było wiele, ale wszystkie schludne, porządne, znać było na pierwszy rzut oka zamożność gospodarzy i troskliwość dziedzica.

W owe czasy, kiedy się opowiadanie nasze zaczyna, a jest temu z góry lat dwieście, dziedzic był panem włości i wszystko do niego należało. Jeśli on chciał, włościaninowi powodziło się dobrze i biedy nie znał, ale też od woli tego dziedzica zależała bieda i niedola chłopska.

W Rudce Grabowej od wieków ludzie biedy nie zapamiętali. Wioska przechodziła z ojca na syna, a wszyscy panowie Grabkowscy byli ludzcy i krzywdy kmiotkowi za nic by nie uczynili. I obecny dziedzic, pan Michał Grabkowski takim był, a wieś cała kochała go i sza-

nowała. Kiedy szedł na wyprawę wojenną, a działo się to w owe burzliwe czasy nie-rzadko, wieśniacy żegnali go ze łzami i bło-gosławieństwem i pod nieobecność pana pra-cowali bez nadzoru i nawoływań, tak, że kiedy powrócił, zastawał spichrze i zasieki pełne, a wszędzie ład wzorowy.

Ot i teraz dziedzie powrócił z długiej wo-jaczki do wioski rodzinnej, aby wypocząć po trudach przy żonie i jedynaku. Lud wysypał się gromadką na powitanie pana, za kolana go ściskali sędziwi wieśniacy, a płakali z ra-dości, że znów oglądają dziedzica zdrowym i krzepkim jak dawniej.

Pan też rad był z tego przywiązania swych włościan, witał ich uprzejmie, zapytywał o zdro-wie, dziękował za wierność i pamięć o jego mieniu.

Tak gromadą swych włościan otoczony zdażał do dworu, który się krył pomiędzy dwoma sporemi pagórkami, otoczony wielkim sadem i gęstwiną drzew przytykających tuż do lasu grabowego.

Dwór był niewielki, ale mocno zbudowany, otoczony palisadą z grubych pni i wałem mo-cno z ziemi ubitym. Brama ciężka dębowa,

gęsto okuta żelazem stała teraz na oścież otwarta. bo już do domu znać dano, że pan powraca.

U wrót czekała małżonka pani Regina Grabkowska, kobieta młoda jeszcze i krzepka, trzymając przy sobie syna jedynaka Stefana. Chłopak był smukły jak młoda sosenka, zbudowany silnie, nad lata rozwinięty, a żywość przebijała mu z oczu, które niby ciągle się śmiały, a były czarne jak węgiel.

Rzucił się ojcu do nóg, śmiał się z radości i po rękach go całował. Pan Michał witał syna i żonę, a choć człek był mocny i w trudach wojennych zahartowany, lzy miał w oczach, kiedy do piersi przytulał swoich najbliższych i najdroższych na ziemi. Rok cały w domu nie był, toż nie dziw, że powitanie lzy mu wycisnęło.

Liczna czeladź także na powitanie czekała, wszyscy oni go kochali, bo dobry był i wart kochania.

Ujrzawszy wszystkich zdrowo, szedł pan Michał do domu, w sieni zdjął z siebie zbroję, przeszedł pierwszą izbę gościnną, zmierzając wprost ku drugiej, gdzie była sypialnia. Tu nad łóżkiem wisiał obraz Matki Boskiej Cze-

stochowskiej, a lampa czerwona bezustanku się paliła. Pan Michał padł na kolana i modlił się gorąco, dziękując swej patronce za szczęśliwy powrót do domowej zagrody. Tuż obok niego uklękła żona i syn i dziękowali, że im Bóg dozwolił oglądać męża i ojca zdrowym. Wszyscy łązy mieli w oczach.

Potem wstał pan Michał, jeszcze raz żonę i syna uściskał i poszedł do komory, aby zmienić szaty podróżne.

Dopiero to było pytań i opowiadań. Żona i syn ciekawi przygód ojca, wypytawali o wszystko, on zaś chciał się dowiedzieć, jak oni tu przez ten czas żyli, co robili, czy dużo było kłopotów z gospodarstwem. Pan Michał bowiem, chociaż dużo czasu wojaczce poświęcał, kiedy był doma, zajmował się gorliwie gospodarstwem. To też i teraz, ledwo się trochę z żoną rozgadał, wyszedł zobaczyć stajnie, obory i spichlerze, chcąc się przekonać, co w jego nieobecności robiono. Dla leniuchów i niedbalców był surowym. Ale zdarzyło się właśnie tak, że nic zganić nie potrzebował, owszem pochwalił podstarościego i czeladź i bardzo był zadowolony.

Zmierzchało się już. Pan Michał z podstarościm w podwórzu rozmawiał, gdy usłyszał tentent koni i turkot wozu. Poszedł ku bramie, patrząc kto nadjeżdżał.

Para rączych koni, zaprzężonych do lekkiego węgierskiego wózka, zdążyła szybko ku dworowi. Pan Michał poznał gościa dopiero w bramie.

— Sąsiada kochanego witam — zawołał. — O jakże podziękować za pamięć o mnie!

To mówiąc, podawał ramię gościowi, pomagając mu wysiąść z wózka.

— Ledwom się dowiedział o waszym powrocie, pospieszyłem uściskać drogiego pana Michała — mówił przybyły, a był nim pan Piotr Maruszyński, człek sześćdziesięcioletni, siwy i pochylony już mocno.

— Jakże się macie kochany panie Piotrze? — pytał pan Grabkowski, patrząc na gościa.

— Nie najlepiej, chorowałem.

— Widzę to i boleję, ale teraz już dobrze?

— Bogu dzięki powoli się dzwigam.

— I pomimo choroby byłeś Waśc łaskaw odwiedzać moją chatę, mówiła mi żona. Bóg zapłać za tę pocziwość.

— E, co tam — rzekł pan Piotr — toż to rzecz braterska, sąsiedzka. Waść musiałeś iść bronić kraju, mnie siły nie dały, więc bodaj opieką nad rodziną i mieniem sąsiada trzeba się było zająć.

— Widziałem to już, jak dobra była opieka, wszystko w większym ładzie, aniżeli kiedy ja sam jestem.

— Ludzi masz dobrych. Daliby się zarabąć za swego pana, a dobytku pilnują jak oka w głowie.

— To prawda, mają serce dla mnie, a no i ja nikomu krzywdy nie uczynię.

Właśnie byli w sieniach, gdy drzwi izby gościnnej się otwarły i wypadł z nich Stefan, za kolana pana Maruszyńskiego ścisnął, a widocznie radował się jego przybyciem. Pan Piotr uścisnął chłopca, w głowę pocałował i patrząc mu w iskrzące się oczy, rzekł do ojca :

— Pociechę z niego mieć będziecie. Dzielny chłopak.

— Także sąsiadowi wiele zawdzięcza dobrego — odpowiedział pan Michał — opowiedział mi już, jak się uczył pod waszym

nadzorem, a zdaje mi się, że nauczył się nie-
mało.

— Cóż miałem robić — mówił pan Maruszyński — chłopak ciekawy, więc mu opowiadałem wiele rzeczy i książki dawałem do czytania. Chłopiec uczył się pilnie, ale już najskorszy do konia i korda. Chciało mu się iść na wojnę za ojcem — dodał z uśmiechem.

Pan Michał syna do serca przycisnął.

— Będiesz i ty chłopcze wojował. Wojny i wrogów nie braknie nam nigdy.

Zasiedli w obszernej izbie gościnnej. Zjawiła się pani Grabkowska, witając pocziwego sąsiada, a tuż za nią wszedł młody chłopak, lat może mający ośmnaście, niosąc na wielkiej tacy wódkę, kieliszki i przekąski.

Panowie posilali się po podróży, a kiedy chłopak usługujący wyszedł, rzekł pan Piotr:

— To także nauczyciel Stefana.

Pan Michał spojrzał pytająco na sąsiada.

— Wasylko — ciągnął Pan Piotr dalej — uczy Stefana jeździć, powozić, pływać i na krok go nie odstępuje, obawiając się, aby chłopak nie uczynił sobie nic złego. Prawdzie jest do niego przywiązany.

Pan Michał zamyślił się trochę.

— Dobrze to, że się Stefanek ćwiczy i siłę rozwija, tylko, żeby obcowanie z chłopem nie wpłynęło na niego źle.

— Ej, panie Michale, a toć i ja jestem szlachcic, a nie pozwoliłbym popsuć waszego syna.

— Nie zrozumieliście, mnie, kochany sąsiedzie — odrzekł pan Michał — wiecie, że dla chłopów nigdy nie był srogim, ludzie to także, ale zawsze trzeba pilnować klejnotu szlachetnego i zbyt się z chłopami nie poufalić...

Pan Piotr uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie obawiaj się waść; Wasyl panicza swego kocha i w ogień by za nim skoczył, a sam pamięta dobrze o tem, co go od szlachcica dzieli. Nie poufali się ze Stefankiem, ma dlań należyty szacunek, a syn waści nie traci nic na obcowaniu z chłopem. Siły rozwija, pływa jak ryba, konia w biegu dosiada, po górach się spina jak koza i choćby dziś dać mu mieczyk do rąk, to się nie zleknie. choćby tatarzyna...

— No, nie gniewajcie się sąsiedzie za moją przezorność, ale tak mnie już wycho-

wano, że szlachciec ma być szlachcicem, a chłop chłopem — rzekł pan Michał.

— Ani się gniewam, ani dziwię. Wycho-
wano nas tak wszystkich. Tylko wierzajcie mi,
siwy mam włos, a wiele w życiu widziałem,
lepiej zawsze mieć serca choćby prostych ludzi,
aniżeli ich nienawiść. I chłop jest człowiekiem,
a Bóg tylko wie, kto kiedy przydać się może.

Stefanek siedział przez cały ten czas,
przysłuchując się rozmowie z uwagą. Ojciec
nie kazał mu odejść, owszem chciał, aby syn
znał jego zapatrywania i wczas uczył się ce-
nić klejnot szlachecki.

Teraz dopiero odezwał się chłopak nie-
śmiało; — Wasylek bardzo jest dla mnie do-
bry. Raz gdyby nie on, byłbym utonął, bo mię
wir porwał. Drugi raz, kiedy mię koń unosił,
rzucił się na ratunek i sam o mało życiem
tego nie przyplacił...

— Dobrze, mój chłopcze, nie gniewam się
przecież o to. Wasylka nagrodzę za jego poczi-
wość.

— On mówił, że kiedy ja dorosnę i pójdę
na wojnę, toby chciał iść ze mną, bo jak po-
wiada, nikt mi tak wiernie nie będzie służył,
a może Bóg da, że mi się przyda w potrzebie.



Ojciec uśmiechnął się radośnie.

— Dobrze, mój chłopcze, dam ci Wasylka na pierwszą wyprawę.

— Ach, żebym to ja już rychło mógł pójść bić się! — zawołał Stefanek.

— Poczekaj, poczekaj, i na ciebie przyjdzie kolej.

— To musi być bardzo ładnie iść bić się za kraj rodzinny — mówił Stefanek.

Ojciec spojrział na syna, potem na pana Piotra i znać było, że go te słowa cieszyły. Toż w ich rodzie wszyscy rwali się do korda wcześnie, a nie rychło zdejmowali szyszaki z posiwiałych głów. Póki siły starczyły, służyli krajowi. Pan Michał miał teraz lat czterdzieści dwa, a już pewno dwadzieścia wojował.

Starsi zaczęli znów gawędzić o ostatnich wypadkach. Pan Michał bawił długo na wojnie, był pod Chocimem, a teraz wracał z elekcji króla Jana Sobieskiego.

— Opowiedzże nam, panie Michale, coś widział i słyszał, a toż to ciekawe rzeczy — mówił pan Maruszyński.

— Pewno, że ciekawe i dużo o nich będą pisały kroniki krajowe i historye zagraniczne. Co się to człowiek nauganiał za bisurmanami,

nie jedząc i nie śpiąc, lecz nie dawali spokoju ni w dzień, ni w nocy. A no, trudno, dla dobra Rzeczypospolitej toż każdy z nas winien oddać ostatnią krwi kroplę. A jeszczeż teraz, kiedy od lat tylu wstyd i srom ciążył na orężu polskim; jeszcześmy nie zapomnieli o Żółtych Wodach, Korsuniu i Piławcach (r. 1648), których bez zarumienienia nie może wspomnieć polski obywatel. Alboż i z samymi Turkami, czyż nie wstyd nam było płacić im haracz?

— Mocny Boże, ile to gorzkich łez połknęło się, kiedy nam bisurmani zabrali Kamieniec podolski, a król Michał, świeć Panie nad jego duszą, podpisał haniebną ugodę w Buczaczu (w r. 1672) i trzeba było turkom kłaniać się i płacić daninę... Toż kiedy w roku zeszłym (1673) sejm uchwalił zerwać układy, haraczu nie dać złotem, lecz mieczem twarzym, rzuciłem dom, żonę i dziecko, szedłem pod buławę naszego hetmana Sobieskiego, aby zwyciężyć lub głowę na pobojuwisku położyć. Bóg nam błogosławił, nas było trzydzieści tysięcy a ich krocie niezliczone i zwyciężyliśmy. Chocim będzie pamiętny do końca świata, a nam lżej teraz i otucha wstąpiła w serca,

kiedy na tronie zasiadł dawny hetman wielki koronny Jan Sobieski. Byłem ranny, nie mogłem wracać do domu, a potem trzeba było jechać na pole elekcyjne dać głos naszemu hetmanowi, który oby królował wiek cały. Bohater to, jakich nie wielu było i będzie na świecie.

— Znam ja go dobrze — rzekł pan Piotr, walczyłem pod jego buławą póki siły pozwalały i z dawniejszych lat pamiętam dzisiejszego króla.

— Byliście panie Piotrze, podobno na zamku Oleskim, gdy się Jan urodził — mówił pan Michał.

— Tak jest.

— Proszę nam o tem opowiedzieć, odezwał się Stefan — historya takiego wielkiego męża musi być bardzo ciekawa.

Pan Maruszyński spojrział na proszącego z łagodnym uśmiechem i zaczął opowiadać.

— Pamiętam jakby dziś, było to w piątek rano 17 sierpnia 1629 roku. Miałem rok szesnasty, a ojciec oddał mię był na zamek Oleski, abym się na wielkopańskim dworze przetarł i służby publicznej nauczył. Dzień był chmurny i burza groziła wielka. Byłem wraz

z innymi dworzanami, gdy nam dano znać o urodzeniu się Jana. Prawie w tejże samej chwili zerwała się straszna burza, że zdawało się, mury zamkowe nie wytrzymają. Służba przejęta była jakimś strachem, a cóż dopiero mówić, gdybyśmy się dowiedzieli, że kiedy dziecko położono na stole marmurowym, ten z trzaskiem pękł na dwoje. Niedowiarkowie powiadali, że to od burzy i piorunów, ale większość widziała w tem znak Boży. Toż i ksiądz Ziemiaszko, obecny temu wypadkowi, powiedział: „Znać, że niemowlę to z poręki Wszechmocności chwałę otrzyma i sławnem będzie w całym chrześcijaństwie“. I myśmy sobie tak ten znak tłómaczyli, wierząc, że kiedy mały Jan urośnie, będzie bił wrogów, a najpewniej bisurmanów, którzy właśnie wtenczas zalegali kraj i aż pod zamek w Olesku zapuszczali swe zagony. Burza trwała długo, a tak częste i straszne były pioruny, że od nich aż ogłuchł krawiec pani Sobieskiej.

— Dziecko rosło zdrowe — ciągnął dalej pan Piotr — i zapowiadało dzielnego człowieka na przyszłość. Do jedenastego roku chował się Jan wraz ze starszym swoim bratem Markiem w domu rodzicielskim i wonczas

widywałem go często. Żwawy, zwinny, lubił zabawy chłopięce, a do szabli rwał się za młodu, rąbiąc drewnianych turków, których do zabawy chłopcom dawano. Patrzałem raz na niego w Żółkwi w kościele, kiedy pani hetmanowa przyprowadziła obu synów przed grobowiec hetmana Żółkiewskiego i opowiadała im jego dzieje. Oczy iskrzyły się małemu Janowi, gdy słuchał o śmierci swego pradziada pod Cecorą, a małe pięści ścisnęły rękojeść miecza. Może wtedy myślał o odwecie, o pomście za te wszystkie nieszczęścia, których doznał kraj i rodzina jego od niewiernych...

— I pomścił się teraz krwawo — rzekł pan Michał.

— A da Bóg, jeszcze nie raz doda coś bisurmanom do ostatniej ich klęski.

— O, pewno, król nie będzie spoczywał, a i hetman Jabłonowski nie usiedzi doma. Obaj oni żyją tylko wojną z tatarami i turkami.

— Dobrze to waści mówić o przyszłości — rzekł pan Piotr — pójdziesz się jeszcze bić, a potem syna będziesz do wojaczki zaprawiał. A mnie staremu smutno bardzo. Włos zbielał, sił nie mam, a w domu jedna tylko wnuczka.

Wygaśnie nasz ród, a był przecież rycerski i nigdy krwi nie żałował na obronę kraju.

— A nie jesteście wam pociechą, panie Piotrze, ta myśl, żeście długie lata uczciwie sprawie kraju służyli, żeście w tylu byli potrzebach? Teraz kolej na młodszych, a wam odpoczynek się należy.

— Prawda to.

— I ja może już niedługo będę wojował...

— Niechno ja tylko wyrosnę — odezwał się Stefanek — pójdę na wojnę, a ojciec będzie odpoczywał w domu.

Pan Michał ucałował syna, przypatrywał mu się długo, jakby się chciał nim nacieszyć, zanim go puści na wojnę. Wiedział on dobrze, że taki to los każdego uczciwego obywatela, któremu Bóg sił nie poskapił, ale wiedział także, że wojna to nie zabawka, a w tańcu z pohańcami łatwo głowę nałożyć. Myślał tak długo, jakby chciał odgadnąć, jaki też będzie los tego chłopca, któremu tak pilno było iść na wojaczkę.

Ocknął się z zamyślenia i zapytał Pana Piotra.

— Jakże tam walcina wnuczka się miewa

— Bogu dzięki zdrowa, chowa się dobrze a i do nauki nie leniwa. Będzie z niej dobra gospodyni i poczciwa, bogobojna kobieta. Z Stefankiem bardzo się polubili. często go też brałem do siebie, albo z nią tu przyjeżdżałem.

— Jutro zaraz pojedę ją zobaczyć, toć to moja pochrzestnica. Pewno urosła i odmieniła się, odkąd jej nie widziałem.

Rozmawiali jeszcze długo. Pan Michał opowiadał przygody wojenne, jak o mało nie dostał się, do niewoli, kiedy otrzymał ranę, to znów o elekcyi króla Jana III, a pan Piotr, żona i syn słuchali go z wielkiem zajęciem. Wszystko to było ciekawe bardzo i pouczające.

Stefanek z opowiadań takich nauczył się już, co to wojna, jakie są obowiązki każdego obywatela, jacy są najwięksi wrogowie jego ziemi rodzinnej i w pamięci wszystko to sobie zapisywał, aby kiedyś, gdy sam zostanie wojakiem, czynić tak samo, jak jego ojciec, jak pan Piotr i tylu innych.

Późno w noc opuścił pan Maruszyński dwór swego sąsiada, prosząc, by go jutro odwiedził.

Cisza zaległa dokoła, światła pogasły, tylko psy czujne pilnowały dworu. Stefankowi śniły się wyprawy na strasznych turków, których bił setnie, aż pobił wszystkich i na placu boju pozostały tylko trupy. Gdy matka przyszła rano chłopca obudzić, bo zasnął zbyt długo, zobaczyła uśmiech radości na jego ustach, nie wiedziała, że to senne zwycięstwo nad turkami tak go radowało, iż się uśmiechał do własnych marzeń.

Dwór w Rudce ożywił się bardzo od czasu powrotu pana Michała.

Sąsiedzi zaczęli doń zjeżdżać, każdy ciekawy był posłuchać o wyprawie chocimskiej, o elekcyi, o królu, bo nie wszyscy, jak pan Grabkowski, byli gorliwi w służeniu Rzeczypospolitej. Na wojnę nie każdy szedł, bo w domu miał żonę i dzieci, albo też wiek na to nie pozwalał, ale spraw publicznych ciekawy był każdy. Nie było wówczas jeszcze poczt i gazet, więc o wiadomości ze świata było trudno. Czekano, aż ktoś przyjedzie z wyprawy lub stolicy i wtedy oblegano go pytaniami.

Pan Michał był poważany przez sąsiadów, więc tem chętniej do niego zajeżdżali, zapraszali do siebie, byle tylko wiedzieć, co się na



świecie dzieje. Stefan nie zawsze ojcu towarzyszył, ale za to często jeździł do Zarzecza do pana Maruszyńskiego, który go bardzo lubił i wielu rzeczy pożytecznych uczył.

Lato było prześliczne, urodzaje zapowiadały się doskonale, pan Michał miał roboty niemało po tak długiej w domu nieobecności. A zresztą pilno mu było do pracy bardzo, bo nie mógł wiedzieć, czy długo będzie mógł pozostać przy gospodarstwie, czy go nie powoła na plac boju potrzeba kraju.

Dziwnem się to mogło komu wydać, że pan Michał, mając żonę i syna, tak często na wojaczkę jeździł. Inni tego nie robili, pozostawiając służbę wojenną młodszym. Ale pana Michała nie można było powstrzymać w domu. Kiedy trąbka zagrała: na koń, przywdziewał zbroję i spieszył na obronę kraju, zostawiając opiekę nad domem i rodziną Opatrzości Boskiej. Dziwa o tem zamięłowaniu do wojaczki mówiono, a ci, co dobrze pana Michała znali, nie dziwili się jego wojskowej gorliwości. Mówiono, że póki mu sił starczy, nie opuści żadnej potrzeby. Podobno tak sobie ślubował w chwili, w której się dowiedział, że brat jego starszy należał do uciekających przed dziką

tluszcza pod Pilawcami. Płakał wtedy ze wstydu, choć jeszcze był młodym bardzo, ale rozumiał hańbę, którą się brat splamił. Młody Michał Grabkowski rozumiał, że rycerzowi przystało zginąć na polu walki, gdy nie może zwyciężyć, ale nie umykać. Od tego też czasu ciągle był na koniu, walczył wszędzie, a pod wodzą Sobieskiego nieraz dał dowody odwagi i męstwa. Hetman też znał pana Michała dobrze i chwalił jego rycerski animusz, a nieraz do ważnych używał usług.

Ale teraz zdawało się, że będzie spokój. To też pan Michał zajął się gorliwie gospodarstwem, nie rzadko odwiedzał sąsiadów, to znowu gościł ich u siebie, a już w największej zażyłości żył z panem Piotrem Maruszyńskim. Podobno nawet układali sobie, że gdy Stefan urośnie do lat męskich, ożeni się z Zosią, wnuczką pana Piotra.

Chłopak Zosię bardzo lubił, uczył ją tego, czego się wpierw sam dowiedział i bawił się z nią chętnie.

Na zabawach schodził im czas i na nauce pod kierunkiem pana Piotra. Ale jakoś po żniwach naradzał się pan Maruszyński długo

z panem Michałem i w końcu uradzili, ażeby Stefana oddać do szkół.

Chłopakowi na łyzy się zbierało, gdy o tem postanowieniu usłyszał. Pierwszy to raz miał opuścić dom rodzicielski, w którym się urodził i wychował. Miał na cały rok pożegnać matkę i ojca, dobrego pana Piotra i jego wesolą wnuczkę Zosię... Ale cóż miał robić? Ojcu sprzeciwić się nie mógł, bo go kochał i szanował, uczony od dzieciństwa, że posłuszeństwo dla rodziców jest świętym obowiązkiem dzieci. Zresztą i to rozumiał, że nauka jest potrzebna, a w szkole uczyć się łatwiej, aniżeli w domu.

Odwioził go tedy ojciec do Lwowa do szkoły OO. Jezuitów, którzy wtenczas mieli najlepszy konwikt.

Serce się ścisnęło chłopakowi, gdy z ojcem przechodził przez długie, ponure korytáře klasztoru. Echo kroków, odbijające się głośno od sklepień, przerażało go, chociaż zawsze był odważny. Drżał prawie, gdy stanął przed poważnym księdzem rektorem. Ale ksiądz uśmiechnął się łagodnie, pogłaskał chłopca i zapytał się:

— A czy ty co umiesz?

Stefan nie śmiał odpowiadać.

— Uczyliśmy go w domu — odrzekł ojciec — coś się tam jeszcze zapamiętało ze szkolnych czasów, a sąsiad mój poczciwy pan Maruszyński pomagał w edukacyi chłopca.

— A, pan Maruszyński, znam go dobrze — odezwał się ksiądz rektor — dawno go nie widziałem.

— Zdrowie mu nie dopisuje — mówił pan Michał — a on to właśnie skłonił mię, że już czas chłopca oddać na naukę.

Potem ksiądz rektor rozmawiał z ojcem po łacinie, bo wówczas prawie każdy szlachcic po łacinie umiał. Stefan uczył się już także tego języka, ale niewiele mógł zrozumieć z tej rozmowy. Ucieszyło go to wszakże, że ksiądz rektor znał pana Maruszyńskiego i dobrze go wspominał. To mu jakoś dodawało otuchy i już się tak bardzo nie bał klasztornej szkoły.

Dwa dni jeszcze pan Grabkowski zabawił we Lwowie, syna potem uściskał, pobłogosławił, do nauki i posłuszeństwa profesorom upominał i pojechał.

Zrazu bardzo było Stefanowi przykro, lecz powoli oswoił się z nowem życiem, poznał wszystkich kolegów, z kilkoma bliżej się za-

przyjaźnił, a uczył się pilnie, tak, że wkrótce chwalili go wszyscy księża profesorowie. Do rodziców pisywał, od nich też listy odbierał, a cieszył się, że na święta będzie mógł do domu pojechać.

Tak ubiegły dwa lata.

Stefan postąpił w naukach bardzo, wiózł do domu świadectwa chlubne, więc cieszył się, że będzie mógł swobodnie pobujać na wakacjach, aż do rozpoczęcia nowego roku szkolnego.

Lzy radości z ocz mu spłynęły, gdy ścisnął ukochanych rodziców. Potem popędził na koniu do pana Maruszyńskiego, który go witał, jakby własnego syna.

Zosia także bardzo się ucieszyła, zobaczywszy przyjaciela i towarzysza dziecięcych zabaw.

Bawili się tedy znów wesoło, ale nie długo. Pan Michał chodził bardzo zamyślony, często do sąsiada jeździł, coś ze sobą długo rozmawiali na osobności, aż w końcu wszyscy się dowiedzieli, o co chodziło.

Na wschodnich kresach pojawili się znów tatarzy i ogromne wojska tureckie. Król wzywał do obrony kraju.

Pan Michał wahał się krótko, z panem Piotrem naradzał, aż wreszcie postanowił jechać na nową wojnę.

— Miejcie w opiece żonę moją i dziecko — prosił odjeżdżając.

Żona płakała, ale nie zatrzymywała męża, boć rozumiała dobrze i wiedziała, że musi iść bronić kraju. Stefan spoglądał na ojca i jego zbroję, jakby mu żal było, iż musi zostać w domu, nie może jeszcze iść na wojnę.

W Rudce zrobiło się cicho i smutno, bo coraz smutniejsze dochodziły wieści. Turcy i tatarzy rozpuścili po kraju zagony, palili i mordowali bezbronnych, a coraz dalej się posuwali. Nie było siły, któraby ich powstrzymała. Wojsko zbierało się wolno, a król czekał jeszcze, chcąc mieć siły większe. Tymczasem zagony pohańców pędziły naprzód, jak wezbrana fala, zalewały co dnia więcej kraju. Ludzie uciekali, rzucając cały majątek na pastwę wrogów, każdy rad był, gdy życie ocalił. Kto mógł, spieszył w góry i lasy, czując się tam bezpiecznym.

Do Rudki coraz częściej wpadali ludzie przestraszeni, zmęczeni i głodni, niosąc trwogę przed zastępami najeźdźców.

Pani Grabkowska przyjmowała wszystkich pod dach gościnnie, karmiła, odziewała. a była odważna i oczekiwała, co dalej będzie. Pan Piotr już prawie z jej domu nie wydalął się, potem nawet z wnuczką tu zjechał, u siebie wszystko zabezpieczył, a pilnował, aby się w Rudce jakie nieszczęście nie stało. Lud do swoich państwa przywiązany, rozstawiał dobrowolnie strażę koło dworu i daleko po za wsią, aby w razie niebezpieczeństwa móżd się zawczasu ratować ucieczką w głąb gór.

Wieści były co dnia straszniejsze. Zagony pohańców dochodziły tak blisko, że lada chwila można się ich było spodziewać w Rudce. Wieś była wprawdzie ukryta w pośród lesistych pagórków, dwór prawie w lesie się schował i zdaleka dostrzedz go nie było można, ale zawsze już bezpieczeństwa nie było.

Dzień i noc chodziły strażę koło dworu, ludzi wysyłano na zwiady, kobiety modliły się w cerkwi, błagając Boga o pomoc.

Pani Grabkowska ani na chwilę nie straciła przytomności, sama zajmowała się całym domem, ukryła srebra, zapas pieniędzy i wszystko, co miała kosztowniejszego, przygotowywała jadlo na wypadek, gdyby trzeba było

dom opuścić. Pan Piotr był jej pomocnym, syn również, który znów opatrywał ojcowską broń, przygotowywał proch i krzesiwa, lał kule do garłaczy, pistoletów, ćwiczył się w robieniu szabłą ciężką, a władał nią składnie i silnie, jakby wojak prawdziwy. W tej jego pracy był mu pomocnym Wasylko, który acz nie rycerskiego stanu, z bronią znał się dobrze i strzelał ptaki w lot. Chłopak ten miał lat dwadzieścia, a silny był, jak niedźwiedź, a przytem zwinny i bardzo sprytny. Nie opuszczał swego panicza ani na krok, ale często się zamyślił, jakby sobie co w głowie układał.

Niebezpieczeństwo było bardzo bliskie.

Król z wojskiem nielicznem, bo zaledwie trzynaście tysięcy wynoszącem, przeciał drogę pohancom, stanął pod Żurawnem nad Dniestrem, okopał się warownie (24 września 1656) i co dnia staczał krwawe walki. Nieprzyjaciół było przeszło dwakroć sto tysięcy!

Główny korpus turecki bił się z wojskiem królewskiem zawzięcie, ale ciągle ponosił klęski. Za to tatarzy tem wścieklej rzucali się na rabunek i spustoszenie kraju.

Widziano bliskie łuny, dym palących się wsi zalatywał prawie do Rudki. Pomiedzy lu-

dem i czeladzią dworską panował strach wielki. Wielu już ze wsi umknęło w góry, pędząc przed sobą konie i bydło.

We dworze zdawało się wszystko spokojne. Wyczekiwano dnia straszego ze zdaniem się na wolę Boską.

Wasyłko choć młody, objął komendę nad czeladzią. Stary podstarości radyby sobie dać nie mógł z lękliwymi. Wasyłko tedy pilnował wszystkiego i wszystkich, nikomu nie pozwalając się ruszyć po za częstokół dworu. Słuchać go musieli, bo był groźny.

— Czekaj nasza dobra pani z dzieckiem, to i nam czekać trzeba. Pan poszedł bić się za nas wszystkich, to my wszyscy musimy bronić jego rodziny, choćby krew oddać przyszło — mówił do czeladzi. — A jak się kto ruszy ze dworu, to życia nie ocali, bo ja o tem w łeb mu palnę! dodawał, pokazując ogromny pistolet nabity.

To też jedni z miłości dla państwa, drudzy ze strachu przed Wasyłkowym pistoletem trzymali się dworu. Wasyłko ani jadł, ani spał, a czuwał nad porządkiem. Nocą z kilkoma parobkami coś się zjawiał i potem gdzieś zniknął, ale przed wschodem słońca

znów go widziano, jak wylaził na wysoki dąb, rosnący tuż koło dworu. Tak z wierzchołka patrzył w dal, czy nie widać zagonów tatarskich, siedział chwilę i zląził do swojej roboty.

Nieraz całował panią po rękach i nogach, pocziwym głosem mawiał:

— Nie bójcie się pani — Pan Bóg jest miłosierny, On wam nie da krzywdy doznać.

Pani dziękowała dobremu chłopcu i wierzyła, że on jej nie opuści, chybaży miał zginąć.

Czoło pana Piotra zasepiło się na widok bliskich łun. Ucho jego czujne, przyłożone do ziemi, słyszało tentent koni. Daleko to jeszcze było, ale można się było spodziewać, że lada chwila niebezpieczeństwo nadejdzie tuż.

Wasyłko, widząc pana Piotra tak strapionego, obejrzał się dokoła, czy ich kto nie słyzy, schylił mu się do kolan, jakby za coś przepraszał, potem podniósł się i do ucha coś panu mówił. W owe czasy była to wielka śmiałość, żeby wieśniak tak blisko i to do ucha szlachcicowi mówił, to też pewno za to Wasyłko przepraszał, ale głośno mówić nie chciał, aby go kto nie podsłuchał. Ale pan

Piotr nie gniewał się za taką poufałość, owszem uśmiechnął się i dziękował Wasylkowi. Jemu oczy się świeciły.

— Da Bóg, może nie będzie potrzeba, a jak już konieczne, to tak się zrobi.... to bezpieczne i pewne....

— Dobrze mój chłopcze, Bóg ci zapłać za twoją pocziwość.

Pewnego dnia ujrzał Wasylko z wierzchołka dębu jakiegoś człowieka, spieszącego chyłkiem ku dworowi.

Zeskoczył szybko na dół, niespostrzeżony wymknął się po za częstokół i dopiero po godzinie do domu powrócił. Było to już nad wieczorem. Zaraz poszedł do pana Maruszyńskiego, coś z nim cicho rozmawiał, a potem jakby nic nie zaszło, powrócił do czeladzi. Rozmawiał o tem i owem, kazał czuwać nad bezpieczeństwem domu, potem nieznacznie skinął na postarościego i po chwili zeszli się obaj w ukryciu koło częstokołu.

Wasylka wszędzie było pełno. To ukazał się na podwórzu, to w izbie czeladnej, to do spiżarni zajrzał mimochodem i coś cicho do kogoś mówił, to znów był przy paniczu, który

siedział nad bronią gotową do walki. Nawet z panną Zosią pogadał i panią w rękę pocałował.

Z czeladzią był dobry, ale ostro nakazywał, żeby się nikt po kątach nie chował, a był na każde zawołanie, bo choć to życie ludzkie w ręku Pana Boga, ale zawsze lepiej się mieć na baczności.

Słuchali go wszyscy, taką sobie umiał zdobyć powagę między starszymi, a miał kilku przyjaciół, na których spoglądał, jakby się chciał oczami rozmawiać.

Wszystko było w porządku. Cisza zalegała dokoła. Wasylko od czasu do czasu nasłuchiwał, kładł się pod częstokołem na ziemię, ale tak, aby go nikt nie widział i znowu wpadał do domu, aby się przekonać, czy tam wszyscy spokojni.

Już zbliżała się północ, ale nikt o spaniu nie myślał. Pan Piotr odziany był ciepło, buty miał na nogach grube, jakby się wybierał na polowanie. Pani Regina także dobrze się odziała, niby przed zimnem jesiennem, a ognia na kominku palić nie chciano, aby dym z komina nie zdradzał miejsca, gdzie dwór stał. Stefan wdział także buty grube, kurtę mocną su-

kienną, pasem rzemiennym się spał i spoglądał to na matkę, to na pana Piotra, to znowu na Zosię, która bardzo się lękała tatarów. Opowiadał jej, że nic się złego nie stanie, że ani dziadzio, ani on nie daliby jej nic złego uczynić, ale dziewczynka była smutna i zalekniona.

Siedzieli cicho, bo nikomu nie było wesoło do gawędki.

Nagle pan Piotr powstał, do okna się zbliżył i nasłuchiwał chwilę. W drugim pokoju usłyszano silny, chociaż przyciszony chód mężki.

Wszedł Wasylko. Był trochę bledszy aniżeli zwykle, ale uśmiechał się łagodnie. Spojrzał na pana Piotra, na panią i nic nie mówił.

Pani Grabkowska weszła do drugiej izby, lecz rychło powróciła, niosąc chusty wełniane. Milcząc owinęła jedną Zosię, sama też głowę obwiązała i spojrzała pytająco na Wasylka i pana Piotra. Ten wkładał czapkę na głowę, szablę krótko do pasa przywiązał, oczami szukał Stefana. I ten rychło się znalazł we drzwiach ojcowskiego pokoju. Był uzbrojony mocno.

Pistolety zatknął za pas, szablę trzymał w rękę, a drugą dłoń przyciskał do bijącego serca pozłacany ryngraf z obrazem Matki Boskiej.

Wasyłko na chwilę zniknął z pokoju, lecz wnet usłyszano jego głos w sieniach.

— Pamiętaj — mówił do kogoś — aż za dziesięć pacierzy.

Wszedł do pokoju, czapkę baranią trzymał w rękę, z pod sukmany wyglądały pistolety i główńia krótkiego pałasza. Zbliżył się do czekających i pocałował panią w obie ręce. Zosię wziął w pól i z uśmiechem rzekł:

— Pójdziemy pannuńciu na orzechy, ale jak pannuńcia dziadzie kocha, proszę być cicho i nie płakać. Dziadzio pójdzie także.

Zosia, chociaż bardzo przełęczniona, widząc wszystkich ubranych, jak do drogi a spokojnych, nie płakała. Dała się wziąć Wasyłkowi na ręce i główkę na jego oparła ramieniu, oglądając się tylko na dziadka i Stefana.

Zdawało się, że z zewnątrz dworu dola tuje coraz mocniejszy tentent koni.

— Chodźmy! — odezwał się cicho Wasyłko.

Przykląkł przed obrazem Matki Najświętszej, przeżegnał się, łzy miał w oczach, potem wstał, czapkę nałożył na głowę i pierwszy ruszył ku drzwiom do alkowy.

Pani Regina, Stefan i pan Piotr ukłękli na chwilę i poszli za Wasylem.

We dworze zrobiło się bardzo cicho.

Za to na podwórzu pomiędzy zgromadzoną czeladzią trwoga zapanowała. Słyszano tentent cwałujących koni i dzikie okrzyki: Ałlah, Ałlah! Wiatr niósł te wrzaski ku dworowi, a pomiędzy czeladzią lament powstał.

— Tatarzy! — wołano z przerażeniem.

W pierwszej chwili zapomniano nawet o dziedzicze.

We wsi zaczęły się palić chaty, ogień buchał do góry, wiatr go roznosił.

— Nasza pani! — zawołał ktoś z trwogą i chciał biedz do dworu.

Podstarości wstrzymał go.

— Cicho! Pan Bóg łaskaw będzie, może nas tu nie znajdą.

Łuna zakrwawiła niebo, krzyki pogańskiej tłuszczy stawały się coraz straszniejsze.

Podstarości odmawiał pacierze; tuż przy nim stało kilku silnych parobków. Czeladź cała modliła się na kolanach.

Wycie dzikiej tłuszczy zbliżało się ku dworowi, słyszano rzenie koni, a tu cicha modlitwa płynęła z serc bezbronnych pod niebiosą.

— Allah, Allah!

Porwali się wszyscy z ziemi.

— Naszą panią ratujmy! — zawołali jedni, drudzy rzucili się ku tej stronie, gdzie częstokół przypierał do lasu.

— Rędl! — zawołał podstarości.

Parobcy stojący tuż przy nim pokazali ciężkie łopaty.

— Cicho być i za mną — odezwał się znowu podstarości.

Prowadził całą czeladź do śpichlerza. Pod jedną ścianą widać było otwór, świeżo wykopany. Podstarości z parobkami stanęli przy otworze.

— Naprzód! — zawołał — a w porządku, nie cisnąć się, jest czasu dość.

Wchodzili tedy ludzie do tego otworu i znikali. Podstarości z owymi nieodstępującymi go parobkami czekali do ostatka. Potem i oni

zniknęli w głębi jamy. Słyszeli jeszcze straszny krzyk tatarów wyłamujących bramę.

Upłynęła dobra chwila, wrzaski pohańców stłumiły odgłos z hukiem zapadającej się ziemi. Jedna ściana śpichlerza, pochyliła się, snopy padały bezładnie, połowa ziarna zeszłorocznego gdzieś przepadła, jakby w studni.

Tatarzy rzucili ogień na słomiane poszycia stodół i śpichlerza, dwór przebiegali od końca do końca, klęcząc strasznie, w końcu i dwór z dymem puścili, ale ani śladu ludzkiego nie znaleźli. Przesiedzieli na miejscu do rana, zapuścili się kawał w las — nigdzie tropu nie mogli odszukać. Chyba więc ludzie dawno już dwór opuścili, jak się to często zdarzało.

Słońce dnia tego świeciło nad dogorywającymi zgliszczami. Tatarzy, nie znalazłszy nikogo w inną puścili się stronę. W góry i lasy iść nie mogli wielką gromadą, konie pośród drzew rozbiegały się. Poszli więc szukać łatwiejszej zdobyczy.

Pod Żurawnem tymczasem boje nie ustawały, a coraz więcej szczęściło się wojsku królewskiemu. Sam Jan III. wszystkiego doglądał, a był wojakiem dzielnym i wodzem znakomitym. Sztuki wojskowej uczył się w ciągu lat

wielu, walcząc często w różnych stronach kraju z napastnikami. A jeszcze młodym będąc chłopcem w czasie podróży za granicą oglądał twierdze i okopy, gdzie tylko je spotkał, a w Holandyi brał lekcye u najlepszego nauczyciela kunsztu wojennego.

Więc i pod Żurawnem znać było wprawna rękę wodza, kierującego umiejętnie każdym ruchem wojska. Turków i tatarów bili nasi na potęgę i można się było spodziewać rychłego końca tej wojny.

Pewnej nocy stał pan Michał na okopach, trzymając straż i tęskno patrzył w tę stronę, gdzie była wieś jego, dwór, żona i syn ukochany. Smutno mu było bardzo, bo nie wiedział, co się tam teraz z nimi dzieje, czy są bezpieczni, a tem smutniej, że w tamtej stronie widniały częste łuny. Kto wie, może tatarzy dwór spalili, żonę i dziecko pojмали do niewoli i uwieźli daleko...

Kiedy tak pan Grabkowski stał zamyślony, usłyszał zbliżające się kroki. Spojrzał po za siebie.

Król Sobieski zbliżył się do niego.

Uklonił mu się po wojskowemu.

Król spojrział i od razu poznał dzielnego wojaka, a miał król dziwną pamięć. Kiedy raz kogo widział i parę słów z nim mówił, już go poznał choćby po wielu latach a nawet imię chrzestne pamiętał. Grabkowskiego znał król dobrze jeszcze z czasów, kiedy był hetmanem.

— To waść, panie Michale — odezwał się król — jakże się miewasz?

— Dziękuję waszej miłości za pamięć o mnie. Mam się jak każdy, kto pod rozkazami waszej królewskiej mości walczy za rodzinną ziemię.

— Zacnym jesteś obywatelem i rycerzem — mówił król dalej, a przypatrując się przy świetle bliskiego ognia panu Michałowi, dodał: Smutny coś waść jesteś?

— Alboż można być wesołym, kiedy taka niedola w kraju?

— Masz pewno żonę? — zapytał król.

— Tak, miłościwy panie, niedaleko nawet Zostawiłem ją z synem we dworze, w Rudce Grabowej, dwie mile za Stryjem....

— I niespokojny o nich jesteś?

— A czyż może być inaczej....

— Dlaczegoż jak inni nie zostałeś w domu przy swoich?

— Miłościwy panie, kiedy kraj w potrzebie, wtedy nie pora siedzieć w domu; ziemia rodzinna pierwsza, a zresztą, ktoby kraju brocił, gdyby każdy pozostał na swoim zagonie. Sam jeden nikt by sobie rady nie dał z najazdem, a tak razem, da Bóg, zwyciężymy pod wodzą waszej miłości.

Król był widocznie rozrzewniony temi słowy zacnemi, położył rękę na ramieniu mówiącego i rzekł:

— Lada dzień spodziewam się, że bieda nasza się skończy, już nam parlamentarzy przysyłają. Powrócisz zdrów i da Bóg swoich znajdziesz zdrowych. Przypomnij mi po wojnie, nagrodzę cię.

Pan Michał ucałował rękę króla, który poszedł dalej oglądać strażę — sam wszystkiego pilnował.

Słowa króla sprawdziły się. Turcy zbici straszliwie, poniósłszy ogromne straty, prosili o pokój. Posłowie ich ciągle do okopów przybywali, aż wreszcie zawarto pokój dla nas bardzo zaszczytny 17. października 1676. roku.

Radość panowała w obozie ogromna, bo teraz można się było znowu spodziewać spokoju przez czas dłuższy.

Pan Michał w ciągłej trwodze o żonę i syna, o przyjaciela, pana Piotra i jego wnuczkę pragnął jak najspieszniej wracać do domu. Właśnie o tem myślał, gdy go powołano do króla.

— Cieszę się, żeś zdrow, panie Michale, odezwał się król z dobrotliwym uśmiechem — pewno ci pilno do domu.

— Nie taję, miłościwy panie, że tak jest.

— Wracajże z Bogiem zaraz, a dam ci mały oddział wojska, bo samemu jeszcze niebezpiecznie. Włóczą się kupy łupieżnego hultajstwa i nie trudno głową nałożyć taką przeprawę.

Pan Michał ze łzami dziękował królowi za jego dobroć.

— A pamiętajże o mnie, czekam cię.

Rozkaz królewski spełniono natychmiast. Oddział, złożony z pięćdziesięciu ludzi, towarzyszył panu Michałowi, który pośpieszał, jak tylko konie mogły wydażyć.

Pilno mu było bardzo.

Po drodze widział wsie i dwory spalone, a serce biło mu z trwogi. Wszędzie ślady niszczącej ręki tatarskiej były widoczne. Gdzieś niedługo spotykano ludzi pomordowanych, a nie

pogrzebanych nawet. Dzikie ptactwo szarpało ich ciała. Ale pan Michał, choć był ludzki, nie mógł się zatrzymywać dla sprawienia pogrzebu tym nieszczęśliwym ofiarom. Zostawił kilku swoich towarzyszy, prosząc, by zwłoki pogrzebali, a sam pędził dalej bez wytchnienia. Widział jeszcze kupy tatarów, włóczące się, ale te uciekały, ujrzawszy wojsko polskie, bo już wiadano o ugodzie zawartej z królem.

Słońce zachodziło, gdy pan Michał ze swymi towarzyszami ujrzał wioskę rodzinną. Serce mu zabiło na ten widok. Czerwone promienie oświecały zgliszcza tylko.

Strachem przejęty pędził sam jeden w stronę domu, towarzysze nie mogli za nim zdążyć, tak go pośpiech ogarnął. Lecz kiedy go dogonili, smutny widok przedstawił się ich oczom.

Dwór i zabudowania gospodarskie spalono, nigdzie śladu życia ludzkiego.

Pan Michał z rękoma załamanemi klęczał na zgliszczach i płakał.

Ten i ów z jego towarzyszy posmutniał także. Nie wiadano, jak nieszczęśliwego pocieszyć. Wreszcie któryś się odezwał:

— Nie smućcie się, panie bracie, a toż dwór nie wszyskiem jeszcze na świecie, wasi

może się gdzie skryli, las blisko, pewno ich odnajdziemy.

Na te słowa porwał się pan Michał na równe nogi.

— Prawda, może się skryli, ale gdzie ich szukać?

— Chodźmy w las.

— Noc nadchodzi, nie doszukamy się śladów.

— Tak, prawda to, więc chyba czekać do rana.

— Nie, to być nie może! — zawołał pan Michał, ja tu nie usiedzę, muszę iść, odnajdę ich, jeśli żywi, choćby na końcu świata.

— Za dnia będzie łatwiej szukać — tłumaczyli.

— Nie, nie.

Chwilę pomyślał i jakby coś postanowił, zwrócił się do swych towarzyszy i rzekł:

— Zostańcie tu do rana, potem szukajcie, może wam się uda, ja idę zaraz w las, znam go dobrze, trafię i po nocy.

Pożegnał się i poszedł.

Las to był jego własny, więc się w nim nie błąkał i szedł w górę, nawoływał, sądząc, że jeśli tu kto jest, usłyszy go. Echo tylko mu

odpowiadało. Zmęczony trudami wojennemi, ustawał czasem na chwilę, ale wnet się zrywał i szedł dalej, wciąż pod górę, nawołując z sił całych. Zbaczał to w tę, to w ową stronę, ale szukał nadaremno.

Wtem zdawało mu się, że coś słyszy. Huknął głośno. Głos niby odpowiedział. Nie mógł rozpoznać; czy to był głos istotnie, czy tylko echo. Huknął po raz drugi i nasłuchiwał uważnie. Położył się na ziemię i zdawało mu się że słyszy odgłos kroków. Wyraźnie zbliżały się do niego. Nawoływał więc głośno i słuchał ciągle. Kroki stawały się coraz wyraźniejsze. Słyszał już teraz trzask łamanych gałęzi.

Upłynęła długa chwila. Wtem posunęło się coś w pobliskiem zaroślu. Pan Michał wytężył wzrok i ujrzał wyraźnie coś błyszczącego; poznał, że to był blask stali. Sięgnął po pistolety, obejrzał panewki i ruszył naprzód.

Ale w tejże chwili gałęzie usunęły się szybko i z pośród nich wybiegł człowiek rośły wprost na pana Michała. Ten ani się spostrzegł, kiedy ów człowiek do nóg mu przypadł i za kolana obejmował.

— Panie nasz, a toż zdrowi wracacie do nas.

— Wasylko ! — zawołał pan Michał, podnosząc chłopca z ziemi — mów, żyją, zdrowi?

— Żyją i zdrowi Bogu dzięki.

— Boże, bądź pochwalon za tve wielkie miłosierdzie !

Chwilę modlił się cicho. Potem zapytał Wasylka :

— Gdzie są ?

— Kawał drogi ztąd, w Rozhureczu.

— Zapomniałem o tem schronisku.

— A no, myśmy pamiętali....

— Prowadźże mię, prędzej.

Wasylko wiódł swego pana, a obydwom było pilno. Pierwsze promienie wschodzącego, słońca powitały ich nad rzeką Stryjem. Brzeg z tej strony był płaski, gęsto łożyną zarosły, po drugiej wznosiły się góry lesiste i coraz wyżej i wyżej, ginąc aż w sinych obłokach na granicy węgierskiej.

Wasylko odszukał małą łódkę, ukrytą w gęstwinie nadbrzeżnej, wsiadł do niej z panem Michałem i szybko puścili się ku drugiej stronie. Prąd wody ich unosił, ale dobili do brzegu właśnie w miejscu, w którym najłatwiej było łódkę przypiąć i ukryć.

Szli jeszcze pół godziny gęstym lasem piętrzącym się na stromej, a skalistej górze. Wreszcie ujrzał pan Michał szare, nagie skały. Zdawało się, że zapomniał o wszystkich trudach, poskoczył, jak młody naprzód i wnet był u stóp ogromnej skały, ukrytej zupełnie pomiędzy drzewami bukowemi. W skale tej był mały otwór, w kształcie drzwi wykuty, przywalony ogromnym kamieniem, a z boku tylko szparę można było odkryć. Pan Michał chciał już wejść bo wnętrza skały, gdy go Wasyłko zatrzymał.

— Tam śpią jeszcze pewnie, nie trzeba ich budzić, ja sam wejde cicho, mnie się spodziewają, bom wyszedł wczoraj na zwiady.

— Idźże, a wracaj.

Czekał pan Michał niedługo, w otworze ukazał się Wasyłko i ręką skinął. Weszli do wielkiej sali w kamieniu wykutej, do której znikąd nie wpadał promień słoneczny. Trudno było tu kogo poznać, a ludzi było wiele. Wasyłko poszedł gdzieś w kąt i powrócił z palącem łuczywem.

Dziwny widok przedstawił się oczom pana Michała.

Sala była ogromna, niby sklepiona, w jednym kącie widać było zagłębienie, skracające się niby korytarzyk, ztamtąd to wyniósł Wasylko płonące łuczywo.

Na ziemi, a raczej na kamiennej posadzce, spali ludzie pokotem, nie każdy nawet miał garść słomy pod sobą.

Wasyłko wskazał w głąb na prawo. Tam na posłaniu wygodniejszym leżało troje ludzi, mocno pootulanych w szale i koce.

— Tam są — rzekł Wasyłko — śpią twardo... ale też tyle nocy nie spali, to pierwsza noc dopiero — powiedziałem im, że już tatarów nie widać uspokoili się trochę i Bogu dzięki zasnęli.

Trochę dalej, także na dość dobrem posłaniu, leżał mężczyzna cały jak inni ubrany i spał także twardo. W tej chwili poruszył się, snąć błądzący płomień łuczywa go przebudził. Przetarł oczy, podniósł się, spojrzał i cichy okrzyk wydobył mu się z piersi.

Porwał się na równe nogi i zbliżył do pana Michała.

Uścisnęli się w milczeniu. - Był to pan Piotr.

— Zdrowi są i o was tylko niespokojni — rzekł cicho. — A jak tam w kraju?

— Bogu dzięki, zwyciężyliśmy, pokój zawarty.

Pan Piotr odetchnął głęboko.

Wyszli na dwór. Pan Michał ciągle ku skale spoglądał, chciał jak najprędzej uścisnąć swoich ukochanych.

— Czekajże waść, pójdę, gdy się obudzą, tu ich wyprowadzę, uprzedzę trochę, bo nagła radość zaszkodzi.

Poszedł, a pan Michał chodził tam i na powrót. Oglądał skały, które raz tylko dawniej widział. Słyszał, że tam ludzie się kryli w czasie napadów tatarskich, ale potem zapomniał o tem, nie spodziewając się może, ażeby zagony pohańców tak daleko się posunęły. Podobno w skałach tych były naturalne jaskinie, jedna na dole, druga nad nią. Ludzie je rozszerzyli, aby się mógł pomieścić w czasie niebezpieczeństwa. Z daleka z pośród gęstwiny leśnej nie można było tej skały nawet dopatrzeć.*)

*) Skały te wraz z dwiema salami w nich wykutemi są do dziś dnia koło wsi Rozhurecze nad Stryjem w Galicyi. Na ścianach są liczne napisy nazwisk i lat tych właśnie w których Tatarzy na kraj nasz napadali. W sali górnej wykuty jest niby ołtarz, z oknem wychodzącym w las.

Gdy tak pan Michał się rozglądał, wybiegł najpierw Stefan i rzucił się ojcu na szyję, za nim wyszła matka i Zosia z dziadkiem. Ze łzami w oczach witali się, nic w pierwszej chwili nie mówiąc.

Wkrótce wyszła i czeladź, a ujrawszy swego pana, witała go z radością.

Zaczęły sięypytywania.

Pani Regina opowiadała, jak Wasylko już naprzód upatrzył to schronisko, nic nikomu nie mówiąc, jak nocami z kilkoma parobkami kopał przejście z wielkiej piwnicy pod śpichlerzem, w której chowano ziemniaki, aż w głąb lasu, aby przy ucieczce nie zostawić za sobą śladu, jak wreszcie, obawiając się popłochu czeladzi, sam najpierw wyprowadził państwo, potem dopiero kazał ratować resztę, a piwnicę zawalił, aby nikt nie natrafił na ślad podziemnego chodnika, który docierał aż do małego strumyka. Sam niósł Zosię na rękach, drogę w nocy wskazywał i szczęśliwie doprowadził, aż do skał w Rozhurezu. Co dnia wymykał się na wywiady, przynosił świeżej wody, bo zapasy żywności z domu zabrał. Na nikogo się nie zdawał, obawiając się czyjej nieostrożności, która mogłaby zgubić wszystkich.

Pan Michał słuchał tych opowiadań, a potem pocziwego chłopca wyszukał i uściskał go wobec wszystkich. Wiedział, że tą oznaką wdzięczności nie splami klejnotu szlacheckiego.

Trzeba było myśleć o powrocie. Ale dokąd?

Wieś i dwór spalone, a dachu potrzeba było koniecznie, w skale mieszkać niepodobna.

Wasyłko znów powziął myśl szczęśliwą. Poszedł szukać, gdzieby dwór był jaki, albo bodaj chata. Wsie górskie nie uległy zniszczeniu.

Poszedł i dnia tego po południu powrócił. Widać było jak się śpieszył, cały spotniały i zmęczony, ledwo oddychał. Twarz mu się śmiała.

— A toż dwór Zarzecki stoi cały! — zawołał.

Radość była wielka. Pan Piotr zabrał wszystkich do siebie.

Po strasznych przygodach i trudach, miłym był każdemu wypoczynek. Przy kominkowym ogniu opowiadano sobie historię ostatniej wojny i cieszone się spokojem.

Choć to była jesień, pan Michał zabrał się do odbudowania swego domu. Na szczęście srebra, pieniądze, kosztowności, ukryte przez panią Grabkowską w małej piwniczce ocalały

pod gruzami domu. Łatwiej więc było zagospodarować się na nowo.

Tymczasem mieszkano u poczciwego pana Piotra. Tylko Stefan ubył z tego towarzystwa. W domu nie miał co robić, do gospodarstwa był jeszcze za młody, a szkół nie skończył, znowu więc odwiózł go ojciec do Lwowa.

I teraz żał było chłopcu opuszczać swoich rodziców i najlepszych przyjaciół, ale pocieszał się tem, że kiedy nauki skończy, już stale na wsi osiadzie, lub pójdzie na wojnę, o której ciągle marzył.

Trzy lata jeszcze przebył Stefan na nauce, potem wziął go ojciec do domu.

Chłopak rozwinał się bardzo pięknie. Miał lat ośmnaście, a silny był i zwinny, do konia i szabli ochoczy, to też ciągle jeździł po polach, polował po lasach i w robieniu bronią się ćwiczył. Ojcu sprawiał swem postępowaniem prawdziwą pociechę.

Kiedy pan Michał opowiadał o swej rozmowie z królem w obozie, rzekł mu jego przyjaciel:

— Pojedź waść, przypomnij się, a pewno łaska króla będzie nielada.

— Nie, panie Piotrze, ani przypominać się ani o łaskę prosić nie myślę. Zresztą za co mam brać nagrodę? Czy za to, że spełniłem obowiązek obywatelski, broniąc ziemi własnej? Za to się nie płaci. Później może się królowi przypomnę, kiedy będzie trzeba Stefanka oddać do służby wojskowej, będę prosił, ażeby go król umieścił w swoim pułku, a miał nad nim opiekę. Chłopcu się to przyda i na dobre wyjść może, ale innej nagrody nie chcę i nie przyjąłbym.

Stefan cieszył się na tę chwilę, kiedy będzie mógł przywdziać zbroję i z dzielnym królem pójść na wojnę, ale czekać musiał lat starszych i woli ojca. Tymczasem tu, w nowym dworze było mu bardzo dobrze przy boku kochanych rodziców. Do Zarzeczka jeździł często z Zosią, która już teraz była sporą pannienką, bawił się zawsze wesoło i nauczył ją wielu pięknych rzeczy, których się sam w szkole dowiedział, a jej mogły być pożyteczne.

Pan Piotr uczył ich oboje dziejów krajowych, które znał doskonale, a sam już na wiele rzeczy patrzył i pamiętał. Z Stefanem rozmawiał wiele, mówił mu o obywatelskich obowiązkach, uczył praw krajowych, których

znajomość była konieczna, opowiadał mu ciekawe zdarzenia i przygody, a chłopak słuchał go uważnie i pamiętał wszystko doskonale.

Tak zbiegły znów blisko cztery lata.

Stefan miał już lat dwadzieścia i dwa, wąsik czarny siał mu się gęsto, czas było rozpocząć służbę publiczną, naturalnie w wojsku.

Pan Michał przemysliwał właśnie nad tem, że trzebaby Stefana oddać do wojska, a królowi się pokłonić i o opiekę prosić, kiedy zaczęto coś przebąkiwać o wojnie. W kraju przynajmniej od Turków był spokój, a jednak ludzie wojnę wróżyli. Turcy dali nam spokój, ale za to sprzymierzyli się z węgry i sunęli coraz dalej naprzód.

Powód był taki, że węgry nie chcieli podlegać władzy cesarza niemieckiego, a nie mając dość siły do wybicia sobie niepodległości, udali się o pomoc do Turcyi, nie pomni, że to zbrodnia łączyć się z wrogami chrześcijaństwa przeciwko chrześcijańskiemu monarsze.

Cesarz niemiecki, nie czując się dość bezpiecznym i potężnym do zwalczenia strasznego wroga, jakimi byli Turcy, prosił o pomoc króla polskiego Jana III. W tym celu wysłał posłów

swoich do Warszawy, a ci tak długo o pomoc błagali, aż wreszcie król Sobieski podpisał traktat zaczepno-odporny z Niemcami (31. marca 1683 roku). Mocą tego traktatu przyrzekł król wyruszyć na czele 40 tysięcy wojska na odsiecz Wiednia.

Turcy posunęli się szybko ku Niemcom. Wielki wezyr Kara Mustafa miał pod swoją wodzą dwieście tysięcy wojska, a posiłkowali go jeszcze i węgierscy rokoszanie, aby tem łatwiej pobić cesarza, który siły miał szczupłe. Dowództwo oddał on księciu lotaryngskiemu, ale ten nie mógł sobie dać rady z nieprzyjacielem tak liczny, mając tylko 24.000 ludzi pod swymi rozkazami.

Cesarz w strachu wielkim wyjechał z Wiednia do Lincu i o mało co, że się nie dostał do niewoli.

Do Polski słano posłów, błagając o rychłą pomoc. Hrabia Wilczek poseł cesarski i nuncyusz papieski Pallavicini przedstawili królowi straszne położenie Niemiec i na kolanach błagali o ratunek dla Wiednia i chrześcijaństwa.

Król więc wojsko gromadził z pośpiechem, chcąc jeszcze na czas zdążyć z pomocą.

Dowiedziawszy się o tem, pojechał pan Michał z synem do króla.

Jan III. bawił właśnie w Wilanowie pod Warszawą. Wojska i dygnitarzy wszędzie było pełno, trudno się przecisnąć i dostać do króla. Pan Michał czekał trzy dni, aż wreszcie udało mu się z królem mówić.

Poznał go od razu.

— Nie pokazywałeś się tak długo — odezwał się król.

— Wasza królewska mość ma zbyt wiele kłopotów na głowie, abym ich śmiał jeszcze moją osobą przysparzać. Dziś stawię się pod rozkazy waszej miłości, a zarazem o łaskę proszę.

— Mów — rzekł król dobrotliwie — uczynię wszystko.

— Syna przyprowadziłem. Czas mu rozpocząć służbę dla dobra Rzeczypospolitej, a radbym go umieścić dobrze...

— Wezmę go do mego pułku.

Pan Michał do kolan skłonił się królowi za taką łaskę.

— Sam go wysztyftuję, każe dać co będzie potrzebne na wyprawę. Dziś, jutro ru-

szamy, mówił król, a potem zapytał: a waśc, panie Michale co z sobą robisz?

Pan Michał pomyślał chwilę.

— Stary jestem — rzekł — włos posi-
wiał, ale kiedy trzeba ratować chrześcijaństwo,
kiedy tak święta potrzeba się zdarza, pójdę
także na wojnę! Zgłoszę się zaraz do cho-
rągwi.

— To mi się podoba! — zawołał król —
ale możeby ci milej było walczyć tuż obok
syna?

— Pewno — odparł pan Michał.

— To was wezmę obu, a do chorągwi
waścinej dam znać o tem, aby się nie żalili,
że im rycerza tak zacnego zabieram.

Pan Grabkowski był uszczęśliwiony. Ru-
szał na ostatnią wyprawę i będzie mógł pa-
trzeć, jak syn jego jedynak zacznie wójować.
Spodziewał się, że mu wstydu nie zrobi.

Z rozkazu królewskiego przyjęto zaraz
obu Grabkowskich do nowej chorągwi (pułku)
dano im konie i czekano rozkazu do wyru-
szenia.

Wojska już ruszyły ku granicom Austrii
i sam król opuścił Warszawę 18 lipca 1683
roku. Towarzyszyła mu żona jego, królowa

Marya Kazimiera, francuzka rodem, którą król bardzo kochał. Wszakże w Krakowie rozstała się para królewska, a Jan III. ruszył z wojskiem 15 sierpnia dalej na Śląsk.

Przeprawa była ciężka, a często niewygodna, bo dla samego króla nawet nie można było czasem znaleźć przystojnej kwatery. Tak n. p. w Opawie stanął król w stodole na przedmieściu. Wojska wypoczywały krótko, bo pośpiech był potrzebny, a król z drogi pisał do żony bardzo ciekawe listy, w których wszystkie przygody podróży opisywał.

Niedaleko Tulmu nad Dunajem, gdzie się wojsko nasze miało przez tę ogromną rzekę przeprawiać, nastąpiło pierwsze spotkanie z księciem lotaryngskim. Przybieżał on do króla, zdając się pod jego dowództwo, a dziwując się okazałości wojska i orszaku królewskiego. U nich bo tego przepychu nie było. Książę saski, także jeden z wodzów, chodził zawsze w bardzo prostej szacie czerwonej i takąż szarfą był przepasany. Ale za to karność u nich była wielka, a króla Sobieskiego słuchali bardzo i ciągle wypytywali, czy nie ma czego do rozkazania.

Turcy ani się wojska polskiego spodziewali, pogłoskom nie wierzyli i dość spokojnie stali pod Wiedniem, podkopując wały broniące miasto i celnymi strzały niszcząc mury forteczne.

Wreszcie zaczęto się przeprawiać przez most, który acz dobrze zbudowany, pod wielkim ciężarem ciągnącego wojska psuł się ciągle. Słota też wiele w pochodzie przeszkadzała. Drogi były straszne, wszędzie pełno lasów i gór, a nawet przewodnicy nie umieli wskazać, kędyby najwygodniej było przejść. Ale król naglił i choć z biedą o chłodzie, a nieraz i o głodzie, szło wojsko dalej.

Książęta i wodzowie niemieccy, których było wielu, garnęli się do naszego króla, a elektor bawarski bardzo się zaprzyjaźnił z królewiczem, którego ojciec i matka Fanfanikiem nazywali.

Wreszcie po ciężkiej bardzo przeprawie przez Dunaj, stanął król z wojskiem na górze zwanej Kahlenberg. Idąc już, było widać obóz turecki jak na dłoni. Wojsko nie miało prawie co jeść, bo wozy z zapasami musiano pozostawić nad Dunajem. Zimno dokuczało

i wiatr bił w oczy, że ludzie ledwo się mogli utrzymać na koniach.

Z Wiednia widziano już wojsko polskie rozłożone na górze, komendant Staremborg puszczał rące na znak, że czeka pomocy pilnej. Wojsko zajmowało pół mili wszcz, a samej piechoty było dwadzieścia pułków.

Droga na dół pod sam Wiedeń była przykra, bo przez lasy i zarośla, ale wojsko, które już tyle przeszło, nie lękało się tej przeszkody.

Wezwawszy tedy pomocy Boskiej, ruszył Jan III. dnia 13 września 1863 na turków.

Walka była straszna, bo turcy mieli ogromne siły, ale widocznie Opatrzność Boska tak już zrządziła, że nasi, acz mali liczbą, zwyciężyli. Pohańcy po długim odporze rzucili się do ucieczki, zostawiając wszystko na łup zwycięzców.

Radość zapanowała niesłychana, bo takiego świetnego zwycięstwa nie pamiętano w dziejach świata.

Co się naszym w ręce dostało, tegoby chyba nikt nie zliczył. Bogate namioty, pełne kosztownych sprzętów, materij, klejnotów i broni, konie tureckie sławne z bogatymi rze-

dami, pieniądze i amunicya, wszystko to było nagromadzone w niesłychanej ilości.

Wielki wezyr uciekł na końcu w jednej tylko szacie, rzucając resztę na łup zwycięskich wojsk. Namioty wezyrskie zajmowały taką przestrzeń, jak całe miasto, a pełno w nich było pokoi, łazienek, nawet ogrodów z kwiatami. Kosztowności i klejnotów bez liku.

Król zdobył chorągwie tureckie i zaraz jedną posłał do Rzymu dla złożenia w darze papieżowi.

Kto co chciał, brał, a było z czego, bo nawet złota i drogich kamieni znajdowano garściami.

W mieście uderzono we dzwony z radości, lud wyszedł witać króla bohatera, do nóg mu padał, błogosławieństwom nie było końca. Książęta ściskali króla, generałowie całowali go po rękach. Dano też znać, że i cesarz niemiecki, już z trwogi wyzwolony, zbliża się do Wiednia, ale Sobieski poznał łatwo, że ten go nie bardzo chętnie powita, bo się miał za coś wyższego, jako monarcha dziedziczny, a nasz król był tylko szlachcicem, wołą narodu na tron powołany.

To też król nie myśląc czekać na oznaki wdzięczności uratowanego cesarza, opuścił Wiedeń i wyruszył w pole o dwie mile, bo pod miastem obozować nie było można dla zepsutego powietrza od gnijących trupów na polu bojowym.

Wojsko po wielkiem zwycięstwie radowało się i wypoczywało, chociaż miało wiele przykrości od Niemców. Ci zamiast wdzięczności, największą niewdzięczność okazali, a to ze wstydu, że sobie sami poradzić nie umieli, a pomocy cudzej potrzebowali. Ani jadła dla ludzi dawać nie chcieli, ani też dla koni owsa i siana, przeciwnie, kradli jeszcze, gdzie co mogli. Może im zazdrość była tych zdobyczy, które się dostały naszym zwycięzcom. Wstyd to był dla tych niewdzięcznych, tembardziej, że papież przysłał był już dawno pieniądze na utrzymanie wojska naszego, ratującego chrześcijaństwo od niewoli tureckiej.

Pan Michał z synem walczyli pod chorągwią królewską dzielnie. Stefan choć był pierwszy raz na wojnie, sprawił się jak stary wojownik, a ojcu, gdy to widział, aż serce rosło. Wszędzie rzucał się nasz młody bohater naprzód, rąbiąc pohańców z całych sił. Za-

puszczał się za nimi tak zapamiętale, że nieraz mało głową swej śmiałości nie przypłacił.

Zdobyl parę rumaków tureckich z bogatymi rzędami i złota też worek spory zachwylił gdzieś u jakiegoś turka, ale mu nie o zdobycz chodziło, tylko o sławę, o to, ażeby w tej swojej pierwszej wojence okazać się prawdziwym rycerzem. Ci, co nań zbliska patrzyli, musieli mu przyznać, że dzielny był istotnie.

Dowiedział się o tem król i kazał młodego rycerza przywołać do siebie.

Zjawił się tedy w królewskim namiocie wraz z ojcem, ale był bardzo blady i na nogach ledwo się trzymał.

Król spojrzal na niego.

— Powinszować ci trzeba, zacny kawalerze, ale cóż to, wyglądasz jakby chory.

— Nic to, proszę waszej królewskiej miłości — odrzekł Stefan z uśmiechem — bilem turków to też jeden z nich i dla mnie zostawił pamiątkę.

— Bardzoś ranny?

— W boku mam dziurę, ale niegłęboką.

Król kazał przywołać felczera i opatrzyć zaraz młodzieńca, a mieć o nim staranie. Ojca zatrzymał jeszcze.

— Syn nie będzie już mógł teraz bić się, trzeba mu wypoczynku — rzekł król do pana Michała.

— I mnie się tak zdaje.

— My ruszymy dalej, z turczyнем jeszcze nie koniec. Najbezpieczniej będzie odesłać syna do domu, moje wozy jadą do Krakowa, każe go zabrać.

— Dziękuję miłościwy panie za tyle dobroci — rzekł pan Michał — ja z waszą królewską mością pójdę jeszcze dalej. Kiedy jest potrzeba, nie godzi się jej opuszczać.

O syna bądź spokojny, nic mu się złego w drodze nie stanie, każe mieć o nim staranie.

— Jedzie też sąsiad mój bliski do domu, to mu oddam syna.

Król dał panu Michałowi piękny, a kosztowny oprawny miecz turecki.

— Daj to synowi, jako pamiątkę pierwszej jego a tak dzielnej służby.

Pan Michał do łez był prawie wzruszony.

— Nie zapomnę o was, teraz idź do syna.

Poszedł pan Grabkowski z owym mieczem do syna, któremu oczy się śmiały z radości na widok tak cennego upominku królewskiego. Ale zasmucił się, gdy mu ojciec powiedział, że ma wracać do domu. Jemu się jeszcze bić chciało.

— Nic mi nie jest, ojcie kochany, rana lekka, wyleczę się rychło.

— Może ci się tak wydaje, a tu niema się gdzie leczyć. Ludność miejscowa za nasze dobro złem nam odplaca, kawałka chleba byś nie dostał, a zresztą król rusza dalej, rannych za sobą wozić nie może.

Rad nierad musiał się Stefan zgodzić na powrót do domu. Jakoż dnia następnego, błogosławiony przez ojca, ze zdobyczą wojenną i upominkiem królewskim jechał ku ziemi rodzinnej.

Wozy wlokły się leniwo, a nie rzadko trzeba było staczać walki z Niemcami, którzy odbijali łupy.

W jednej z takich przygód, Stefan, acz chory z gorączki, porwał się z wozu, szablą machnął i pierwszego napastnika z brzegu

trupem położył. Reszta widząc to, umknęła co rychlej.

Wreszcie dotarli do Krakowa, a ztąd już Stefan z owym sąsiadem jechał do domu. Rana goiła się wolno, ale nie była niebezpieczną, to też gdy do Rudki zajechał, o własnych siłach z wozu powstał na powitanie matki.

Na widok syna bladego z rany i zmęczenia matka rozplakała się na dobre. Bogu dziękowała za ocalenie jedynaka z tej strasznej przygody wojennej i modliła się o szczęśliwy powrót męża.

Zaraz dano znać panu Maruszyńskiemu, który z wnuczką przybył, ścisnął dzielnego chłopca, sam jego ranę opatrzył, a znał się na tem i uspokoił matkę, że Stefanowi nic złego nie będzie, najdalej za parę niedziel wstanie zdrów zupełnie.

Tak też się stało istotnie.

Matkę wyzdrowienie syna cieszyło bardzo, ale była ciągle niespokojna o męża. Z Węgier, gdzie wojska polskie były dalej turków, trudno dostawały się do kraju wiadomości. Stefan myślał już, czyby się nie przedrzeć przez Karpaty do Węgier i tam z swoimi połączyć, ale matka i pan Piotr odwiedli go od tego

zamiaru, tłumacząc, że wojna lada dzień się skończy, a wtedy i ojciec powróci.

Czekali więc, a tymczasem Stefan bawił się doskonale. Sąsiedzi go rozchwytywali, chcąc się wszystkiego o świetnem zwycięstwie króla pod Wiedniem dowiedzieć, a Stefan też nie lenił się w opowiadaniu, bo rad był się pochwalić, że wszystko to widział i sam w wojnie świętej przeciwko poganom brał udział. Jeździł tedy, polował, bo właśnie śniegi spadły, a zwierza w tych stronach było bardzo wiele. Najmilej wszakże było mu w Zarzeczu przy zameczku panu Piotrze, którego považał jak ojca. Zosia też bardzo mu się podobała, bo była piękna panna, a przytem towarzyszką najmilszych dni dziecięcych.

Wtem doszła do Rudki wiadomość, że król na Węgrzech wojowanie ukończywszy, do Polski powraca. Drogę obrał najkrótszą na Lubowlę. Nie lekka to była przeprawa w zimie pomiędzy ogromne góry i lasy, ale innej dogodniejszej nie było. Mówiono nawet, że król z Lubowli przybędzie do Stryja. gdzie dano panu Wyszyńskiemu rozkaz naprawiania budynków i przygotowania zamków na przybycie królewskie.

Wiadomość ta ucieszyła bardzo panią Grabkowską i jej syna, bo spodziewano się, że ojciec przybędzie z królem tą drogą, jako najbliższą. Oczekiwano wieści pewniejszych i miało je wkrótce.

Król stanął 13 grudnia w Lubowli, a już 15 był w Starym Sączu, gdzie go królowa czekała.

Jak skoro tylko o tem dowiedziano się w Rudce, Stefan, chcąc siebie i matkę uspokoić, wyjechał naprzeciw ojca.

Przy królu ojca nie znalazł. Musiał więc być jeszcze z wojskiem, które zdążało wolniej. Stefan pędził do chorągwi, pod którą ojciec służył, lecz i tu go nie znalazł. Wiadomość, której mu udzielono była smutna. W jednej z bitew pan Michał gdzieś zniknął. Zapewne poległ na polu chwały, chociaż nikt nie mógł powiedzieć, ażeby widział jego zwłoki.

Ale nie dziwne to było. W pośród ciągłych bojów z turkami ginęło wielu, na placu trupów nie można się było doliczyć, a i grzebać ich nie było czasu nieraz, gdy przyszło gonić wroga. Dlatego też zapewne nie spostrzeżono śmierci pana Michała.

Stefan rozpytywał kto obok ojca walczył, z kim stał w szeregu, ale z tych, których pamiętano, nikogo nie było, większa część pogięła. O jednym tylko wiedziano, a tym był niejaki pan Wincenty Szczodrycki, obywatel aż gdzieś z Podola. Tego ciężko raniono w jednej z bitew i teraz pewno gdzieś się leczy z ran. Nikt wszakże nie wiedział na pewno, gdzieby był. On mógłby najlepiej powiedzieć, co się stało z panem Michałem, bo polubili się ze sobą bardzo i zawsze tuż obok siebie byli czy to w drodze czy w boju.

Trudno go było szukać.

Stefan popędził znów za królem, sądząc, że może się tam czegoś dowie o ojcu, może tam będzie kto, coby go był widział.

Ale wszelkie wypytywania były daremne.

Król, dowiedziawszy się o jakimś młodzieńcu, który poszukiwał ojca, kazał go do siebie przywołać. Jakże się zdziwił, ujrawszy Stefana Grabkowskiego, którego był zapamiętał z pod Wiadnia.

— Nieszczęście ci się stało?

— Ojca nie mogę odnaleźć, towarzysze mówią, że zginął, ale nikt go na placu nie wi-

dział. Jego najbliżsi poginęli także, nikogo się dopytać nie mogę.

— A może go bisurmani porwali.

Stefanowi na myśl to nie przyszło. Zaczynał mieć nadzieję, że ojciec żyje.

— Pójdę choćby na koniec świata, a odszukać go muszę, jeśli żyw jest — zawołał.

— Chwali się taka pocziwa miłość synowska — rzekł król — ale przedsięwzięcie twoje trudne, pomiędzy Turkami rady sobie nie dasz, a głowę stracić łatwo.

— A choćby i tak się stało, miłościwy panie, toć obowiązkiem dziecka jest ratować rodzica w potrzebie, a czyż może być większa niewola, jak jasyr u bisurmanów?

Król patrzył z zadowoleniem na zanego rycerza.

— Trzeba się jeszcze rozpytać, może kto widział ojca i coś pewniejszego powie.

— Mówiono mi, że pan Wincenty Szczodrzycki z Podola był najbliższym towarzyszem mego ojca, ale nie wiem, gdzie go szukać.

— Czekaj tu u mnie, każę się dowiedzieć o Szczodrzyckiego, potem do niego pojedziesz.

Istotnie już na drugi dzień powiedziano Stefanowi, gdzie była i jak się nazywała wieś

pana Szczodrzyckiego. Zaraz tedy pośpieszył na Podole, choć kraju nie znał, bo nigdy tedy nie jeździł. Matce znać nie dawał, nie chcąc jej smucić, a może miał nadzieję, że wróci do niej z pewniejszą wiadomością.

Pana Szczodrzyckiego w domu nie zastał, jeszcze nie był z wyprawy powrócił, a rodzina już niespokojna o niego była. Od Stefana dowiedzieli się, że pan Wincenty żyje, ale pewno dla ran gdzie w drodze pozostał.

Nieznajomego gościa, dowiedziawszy się, po co tu przybył zatrzymano. On też rad czekał na powrót pana Szczodrzyckiego, chcąc się koniecznie z nim widzieć.

Czekał dość długo. Wreszcie ujrzał tego, który miał mu udzielić tak ważnej wiadomości o ojcu.

Pan Wincenty był to człowiek w sile wieku, teraz tylko bardzo trudami znękany. Powitał gościa uprzejmie, przypomniał go sobie z owych czasów, kiedy w obozie mówiono o młodym wojaku nagrodzonym przez króla, ale o panu Michale pewnej wieści nie miał.

— Zdaje mi się — że nie zginął. Byłbym to nawet w zgiełku wojennym spostrzegł. Oni chyba wzięli go do niewoli, bo mi nagle gdzieś

zniknął z oczu, a w tejże samej chwili dostałem srogie cięcie i ledwo z duszą uszedłem z tej przyczyny.

Stefanowi łzy się puściły z oczu.

Plakał długo i nie wstydził się tych łez, wylanych z żalu nad dołą ojca, choć to niby wojakowi nie przystało płakać.

— Ha! — rzekł w końcu — niech się dzieje wola Boga, pójdę ojca szukać.

— Zastanówże się młodzieńcze, na co się narażasz? Kraju nie znasz, teraz turcy na nas wściekli, jak gdzie tylko polaka ujrzą, ani chybi, głowę mu zdejmą z karku i na palu obwozić będą na pokaz, że i oni nas biją.

— Mogęż ojca zostawić w niewoli? — pytał Stefan.

— Król jegomość ujmie się za jeńcami i wykupi ich, albo odbierze w zamian za tych, których im pobrał, a ma ich nie mało.

— Długo na to czekać!

— Król na cię był łaskaw, pójdź do niego, opowiedz mu swą niedolę, a pewno pomoże, chociaż to nie rychło się stanie. Ledwo wojna skończona, trochę wody popłynie, zanim wyszlą posłów do Stambułu i zaczną traktować o wymianę jeńców.

— Pójdę, będę prosił, a nie pomoże król miłościwy, to powędruję sam. Mam w domu garść złota, com go zdobył pod Wiedniem, wezmę, a może się da wykupić mojego nie-szczęśliwego rodzica.

Pan Wincenty uściskał zanego młodzieńca.

— Bodaj takich synów wielu bywało.

Chciał jeszcze dłużej Stefana u siebie zatrzymać, ale temu pilno było bardzo. Siadł więc na koń i spieszył po raz wtóry do króla.

Sobieski przyjął go łaskawie, wysłuchał prośby o wstawiennictwo, ale na teraz nie mógł jeszcze nic uczynić. Trzeba było czekać, zanim się Porta zgodzi na wymianę jeńców.

— Jedź do domu spokojny, nie zapomnę twej sprawy. Mili mi jesteście ty i twój ojciec, bo takich rycerzy i zacnych obywateli nie wiele jest.

— Dziękuję waszej miłości za te słowa dobroci i pociechy, ale mnie pilno, a tam w domu czeka matka strapiona.... Pójdę, a Bóg miłosierny uchroni mię od niebezpieczeństwa, bo za godziwą idę sprawę.

— Zacny jesteś, ale trochę uparty — rzekł król.

— Synem jestem, miłościwy panie.

Król pomyślał chwilę.

— Dam ci listy do znajomych moich w Stambule. Kiedym, był posłem, poznałem tam turka jednego, który mię polubił, a zacny jest człowiek, on ci pomoże. Także list napiszę do posła francuskiego, że za ojca twojego dam chętnie jakiego bogatego turka, których mam w niewoli sporo. Niech ci Bóg dopomaga, a powróci zdrowo, bo takich jak ty potrzeujemy zawsze.

Stefan ucałował rękę króla, a nazajutrz otrzymał listy i sporą kieszę dukatów. Oddawca tego rzekł mu:

— Złoto otwiera bramy wszędzie, a u Turków tem bardziej.

Teraz już nie mógł Stefan dłużej zwłóczyć, musiał koniecznie wracać do matki i opowiedzieć jej o wszystkim.

Zalala się łzami i długo jej utulić nie było można. A kiedy jej syn opowiadał, co czynić zamyśla, uchwyciła go za szyję, do piersi przycisnęła i całowała gorąco. Ale potem znowu płakała, obawiając się, by i syna nie straciła.

Radziła się pana Piotra.

Ten nie wiedział, co miał powiedzieć. Chwalił synowską miłość Stefana, ale wiedział

także na co się naraża, idąc pomiędzy Turków, którzy teraz strasznie na Polaków źli być musieli.

— Muszę iść, nie odmawiajcie mi. W domu nie będę miał spokoju.

Wstrzymywali go, ale napróżno. Krzątał się skwapliwie około przygotowań do podróży, pieniądze przeliczył, zaszył je w worku skórzanym, ukrył na piersi, a trochę tylko na wydatki pozostawił i wyruszył.

Matka i Zosią płakały rzewnie. Może przeczuwały, że go nie ujrzą. Modliły się o szczęście dla tego rycerskiego syna, co gotów był oddać życie własne, byle ojca ocalić.

Pan Piotr radził jechać na Podole, tam rozpytywać się o drogę do Turcyi, poradzić świadomych, a najlepiej owego pana Szczodrzyckiego, który już tyle życzliwości okazał.

Tak też uczynił Stefan, żegnany łzami, błogosławieństwem i modlitwą.

W szmatkę zawiązał garść ziemi rodzinnej na wypadek, gdyby mu przyszło zginąć na obczyźnie, aby mu ta grudka jedna bodaj przypominała ojczyznę.

Pan Szczodrzycki ujrzawszy Stefana, domyślił się łatwo celu jego podróży. Pochwycił

go w ramiona, ucałował i spłakał się. Sam miał synów dwóch, a radby, aby się takimi zacnymi kiedyś okazali jak ten oto, który szedł w dalekie, nieznane, a wrogie kraje, byle ojca wybawić z jasyru.

Opowiedział mu co tylko o Turcyi i turkach wiedział, wskazywał najlepszą drogę, radził jak sobie ma postąpić w razie niebezpieczeństwa, ale mu to wszystko nie wystarczyło. Chciał wymyślić coś lepszego.

Nagle uderzył się ręką w czoło i zawołał:
— Mam!

Stefan czekał zdziwiony i ciekawy na pana Szczodrzyckiego.

— Mam sposób doskonały, jedyny i spodziewam się, że ten cię do celu zaprowadzi.

To rzekłszy, wybiegł z pokoju.

Stefan zdziwiony, nie wiedział, co by to mogło znaczyć. czekał więc niespokojny na powrót pana Wincentego. Cekał dość długo, przemyśliwając o swej podróży i o tem, co by mógł jeszcze pan Szczodrzycki poradzić. Wreszcie doczekał się jego powrotu.

Pan Wincenty promieniał z radości. Chwytał znowu Stefana w objęcia, całował jakby własnego syna i mówił:

— Otóż teraz będzie wszystko dobrze.

Odetchnął głęboko i zaczął opowiadać.

— Zapomniałem na wieki, że mam u siebie tatara, któregoś kiedyś podniósł rannego z pobojowiska. Zdawało się, że umrze, ale jakoś się wylizał i od tego czasu jest u mnie. Chciałem go puścić, ale tak się tatarzysko do mnie przywiązało, że, ani rusz pójść sobie precz. Powiada, że mu tu dobrze jest zupełnie, nawykł do spokojnego życia. które widać lepsze jest od ich ciągłego koczowania, pracuje, ale nie wiele, koni mi dogląda, a zna się na nich doskonale. Poduczył się dość dobrze języka ruskiego, tylko wiary swojej nie chce rzucić. Ale niech tam sobie chwali swego Ałaha i Mahometa, mnie to nic nie szkodzi. bo Kerim poczciwy jest i wierny. Otóż teraz obmyśliłem, że on pójdzie z tobą. Drogę zna wybornie, ze swojakami da sobie radę, a że nie zdradzi. jestem pewny. Powiedziałem mu, że jak cię doprowadzi szczęśliwie, aż do Stambułu i powróci, dostanie kawał ziemi, chatę mu pobuduję i jak zechce, niech się wykieruje na gospodarza. Nie pierwszy to u nas tatar osiadły na roli. Widać, że mu się to podobało, bo się uśmiechał, a mnie się widzi, że on so-

bie przyprowadzi tatarkę, albo turczynkę, ożeni się i rolnikiem zostanie.

Stefan za kolana pana Wincentego uściśnął. Łzy miał w oczach.

— Czemże sobie zasłużyłem na taką łaskę?...

— Baj baju! a toż obowiązek jest ratować brata w potrzebie, a cała szlachta to bracia rodzeni i pies ten, coby brata szlachcica nie wspomógł, jeśli może.

Stefan musiał jeszcze czas jakiś pozostać u pana Szczodrzyckiego.

— Teraz jeszcze drogi niespokojne, dajmy się wysapać turkom. Za tydzień lub dwa ruszysz. Tak Kerim także radzi.

Kerim poznawszy towarzysza podróży, przyrzekł mu łamaną ruszczyzną, że go nie opuści, choćby sam miał zginąć. Obiecywał też, że podróż się uda, tylko radził zrzucić szaty, które Stefan miał na sobie, a włożyć sukmanę chłopską.

— Tak będzie bezpieczniej przemykać się pomiędzy tatarami i innymi napastnikami.

— A jakby cię tatarzy złapali? — zapytał pan Szczodrzycki.

Kerim pomyślał chwilę. Skośne jego oczy zaśmiały się.

— Jest i na to sposób.

— Jakież?

— Powiem, że wiodę niewolnika do Stambułu na sprzedaż, nie odbiorą mi go.

— A bodajcie cię! zawołał pan Wincenty, śmiejąc się — jabym tego nie wymyślił.

— Zgodzisz się na to? — zapytał Stefana.

— Na wszystko! byłem tylko dostał się do Stambułu i odszukał ojca.

— Kerim ci dopomoże, on tam sobie da radę, rozpyta się o jeńców, a potem pieniędzmi resztę zrobisz.

— Mam w Bogu nadzieję, że się uda.

W dwa tygodnie później puścił się Stefan z tatarzynem w stepy, dążąc do upragnionego celu. Serce biło mu niespokojnie; modlił się ciągle o pomyślny skutek wyprawy.

Kerim starał się uprzyjemniać mu drogę opowiadaniem o życiu tatarów i turków. W rozmowach tych uczył się Stefan trochę języka nieznanego, który mu się mógł przydać w jego wędrówce.

Po różnych, często niebezpiecznych przygodach, ujrzał zdaleka mury Konstantynopola. Kerim udając, że prowadzi niewolnika, musiał Stefanowi związać ręce, bo go często nagabywano zapytaniami.

Stefan nie mógł się dość napatrzeć Stambułowi. Nic podobnego nie widział na świecie, a zdawało mu się, że Wiedeń, to miasto największe i najwspanialsze. Tu po raz pierwszy ujrzał przepych, bogactwo zmieszane z dzikością wschodu. Strach go zbierał na widok tych pałaców i bogatych meczetów (świątyń maho-metańskich).

Ale nie miał wiele czasu na przypatrywanie się ludziom i miastu, bo obawiał się, aby turcy nie poznali w nim polaka i żądni zemsty za świeżo doznane klęski, nie zamordowali go. Kerim zaraz zaczął się wypytywać o bogatego Selima, do którego Stefan miał list od Króla. Wreszcie odszukali dom jego, za miastem położony na stoku gór pomiędzy ogrodami, o jakich Stefan nie śnił nawet. Dom Selima był obszerny, na pół z marmuru zbudowany, otoczony przepysznym ogrodem, a dalej murem opasany.

Wpuszczono przybyszów w gościnne progi, ani się domyślając, że jeden z nich jest „giaurem“, psem niewiernym, jak bisurmani chrześcijan nazywali.

Selim przyjął swych gości, a Kerim tłumaczył mu, kim byli i po co przyszli. Stefan wręczył list.

Gospodarz list przeczytał, ale spochmurniał. Długo milczał, wreszcie odezwał się.

— Nie powinienem wam dziś dawać gościnnego dachu. Nieprzyjaciółmi, a wrogami naszymi są bracia twoi... strasznie okryliście nas sromem, ale Ałlah potężny, a Mahomet jego prorok wielki jest i wiedzą, dla czego co czynią... Wasz król, a dobry mój dawny znajomy, bohater to dzielny, szkoda, że nie chce z nami żyć w przyjaźni... Miła mi jest pamięć jego, bom go szanował, kiedy tu był i dlatego uczynię dla was, co będę mógł. Mów, czem ci mogę pomódz.

Słowa te zwrócił do Stefana, wpatrując się w niego bacznie swemi oczyma.

— Ojca mam w niewoli, muszę go odszukać, wykupię go, choćbym sam miał oddać wolność i życie — mówił Stefan z zapalem.

Staremu turkowi musiały się podobać te słowa.

Milczał chwilę.

— Trudno to będzie bardzo. Teraz wszyscy kipią nienawiścią do was, może ojca nie znajdziesz już przy życiu...

Stefan spuścił głowę smutnie.

— Nie smuć się naprzód. Trzeba będzie dowiadywać się, kto z ostatniej wyprawy przywiózł jeńców, może między nimi odzujemy ojca twego.

— Życie będę wam winien! — zawołał Stefan, a Kerim słowa jego przetłómaczył Selimowi.

— Wiem, wy wszyscy zaccni jesteście i słowa nie rzucacie na wiatr... Szkoda, żeście nieprzyjaciele nasi...

Pod gościnnym dachem Selima wypoczął Stefan po uciążliwej podróży, rwał się do poszukiwań, ale go gospodarz wstrzymywał.

— Nic sam nie zrobisz, miasta ani języka nie znasz, złapią cię, a wtedy wszystko przepadło.

— Po com tu przybył? — zawołał Stefan. Turek uśmiechnął się.

— Krew młoda niecierpliwa. Nie obawiaj się, nie na darmo przybyłeś. Ale teraz siedź pod moim dachem spokojnie i czekaj. Kerim pójdzie na zwiady, ja sam także wypytywać będę.

— O, nie odmawiajcie mi pomocy! — błagał Stefan — chociaż innej wiary, ale widzę, że jesteście zacnym człowiekiem.

— Bądź spokojny, uczynię, co będę mógł.

Kerim istotnie puścił się na zwiady, zaglądał do każdego kąta, rozpytywał wszystkich, na targ niewolników, ale nigdzie nie napotkał człowieka, któryby był podobnym do ojca Stefana. Nie znał go wprawdzie Kerim, lecz Stefan mu go dokładnie opisał.

Selim także nie dowiedział się jeszcze niczego.

Stefan niecierpliwił się, modlił się całymi dniami, aż wreszcie pewnego dnia, nie mogąc dłużej wytrzymać w bezczynności, przebrany w szaty tureckie zniknął z domu Selima.

Stary zmartwił się, nie zastawszy w domu młodzieńca, a gdy go długo nie było z powrotem, zaczął się obawiać, czy mu się co złego nie przytrafiło. Wyprawił więc Kerima na miasto, a ten ledwo odszukał Stefana. Za-

bląkał się był daleko i nie mógł trafić do domu.

Selim prosił go znowu, aby się z domu nie wydałał, przyrzekając, że go weźmie ze sobą, gdy tego będzie potrzeba.

Poszukiwania trwały dalej, ale bezskutecznie.

Tymczasem stary turek polubił prawdziwie Stefana i pragnął szczerze mu dopomódz. Poznał charakter młodzieńca, szanował jego wielką miłość dla ojca i dokładał wszelkich starań dla odszukania zaginionego jeńca.

Pewnego dnia wrócił do domu późno, a następnego wybrał się gdzieś w podróż konno. Nie było go dwa dni. Powróciwszy, kazał natychmiast przywołać Stefana.

— Powiedz mi raz jeszcze, jak wygląda ojciec.

Stefan opisywał dokładnie.

— Nie ma jakich znaków na twarzy?

— Na czole ma głęboką bliznę od szabli.

— A jaką, wzdłuż czoła, czy w poprzek?

— Wzdłuż, aż do skroni sięga.

— I oczy, powiadasz, siwe.

— Tak.

— A włosy?

— Już dobrze posiwiałe.

— Hm! — mruknął Selim i zamyślił się. Stefan patrzył na niego ze zdziwieniem i niepokojem, nie rozumiejąc, co te pytania znaczą.

Wtem Selim poruszył się żywiej, jakby sobie coś przypomniał.

— A koło ust, pod wąsem nie ma czarnego znaku, tak, że ledwo widać z pod zarostu?

— Tak, ma go... ale na miłość Boską, mówcie — zawołał Stefan — co to znaczy, dlaczego mnie dziś o to pytacie... czyżby?...

— Może Allah, oby chwała jego sięgała krańców świata, wróci ci ojca.

— Boże wielki! — zawołał Stefan, schwytał Selima za rękę i zapytał: — Wyście go widzieli?

Selim spokojnie, z uśmiechem patrzył na młodzieńca. Podobał mu się w tej chwili i jakby do siebie tylko rzekł:

— Szkoda, że mnie Allah nie dał takiego syna... ale wyroki jego są niezbadane, a odwiecznie mądre.

Chwilę tak wpatrywał się w Stefana z zadowoleniem, wreszcie rzekł dość łagodnie, z dobrocią i współczuciem:

D. Q. Nie wiem, czy on, widziałem jeńca, podobnego do twego opisu.

— Prowadźcie mnie, ja muszę widzieć ojca mego.

— Gdybyś nie był giaurem, do serca bym cię przycisnął — rzekł Selim — tak dzieci rodziców kochać powinny. A jednak to, czego żądasz, stać się nie może.

— Dlaczego?

— Bądź spokojny i sądz sam, co byś zrobił dobrego, udając się teraz tam, gdzie twój ojciec jest. Rzuciłbyś się mu do nóg i wszyscy by poznali w tobie wroga i wraz z ojcem zabiliby lub na targ niewolników wywiedli.

— Chcę go tylko zobaczyć, nie ruszę się, słówka nie powiem... — prosił Stefan.

— To ojciec ciebie pozna i wzruszenia nie potrafi ukryć, zdradzilibyście się.

Stefan zwiesił głowę ze smutku.

— Cóż począć? — odezwał się po chwili.

— Zawierzyć mnie. Raz przyrzekłem pomagać, a słowa nie cofam nigdy, choćby wrogom mojej wiary i ojczyzny...

Stefan sięgnął z zanadrza po worek z pieniędzmi. Wyjąwszy go, rzekł:

— Weźcie to i wykupcie ojca mego.

Selim ręką pieniądze odsunął.

— Nie wiem jeszcze, czy ten, którego widziałem, jest ojcem twoim, więc go kupować za twoje pieniądze nie mogę... a zresztą, kto wie, czy ten, który jest twego ojca właścicielem, zechce go sprzedać, spodziewają się znacznego okupu.

— Tu jest znaczna suma, zresztą król powiedział, że da w zamian kogo z waszych, a ma ich u siebie wielu.

Czoło Selima spochmurniało na samo wspomnienie tych rodaków i współwyznawców swoich, którzy zostali pojmani do niewoli. Milczał dość długo, potem cicho zapytał:

— Tam u was naszym źle jest?

— Nikt im nic złego nie czyni...

— Co robicie z jeńcami?

— Czekamy zamiany za naszych.

— Nie sprzedajecie ich?

— U nas ludźmi handlować nie ma zwyczaju, wiara nasza nam tego zabrania...

— Tam naszych nie męczą?

— Nie, często nawet pozwalają powrócić do ojczyzny, gdy im się u nas nie podoba. Tatarzy sami zostają pomiędzy nami, mamy ich

wielu takich osiadłych. Kerim nie chce wracać do swoich.

Selim coś obmyślał, wreszcie odezwał się:

— Słuchaj Stefan-aga (tak zwykł go nazywać), klnę się na cienie Mahometa i dzieci jego, że ojca twego, jeśli żyje, odszukam i oddam tobie, nie biorąc za to ani piastra, choćbym sam miał go złotem okupić, ale ty mi przysięgnij, że kiedy wrócisz do kraju, uwolnisz jednego z naszych i tu go odeślesz. Niech będzie głowa za głowę. Wiem ja, że kiedyś będą jeńców mieniali, ale na to długo trzeba czekać; ja nie byłem na wojnie, chcę bodaj tak swoim się przysłużyć... Przysięgnij mi.

— U nas na taką rzecz przysięgi nie trzeba, szlachcie kiedy da słowo, to go dotrzyma. Odeślę jednego z waszych, albo sam powrócę, oddając się wam w niewolę.

Selim uścisnął dłoń młodzieńca.

— Wierzę ci, prawy jesteś i ojca kochasz... takim ludziom zawsze się wierzy...

— A jeńca tego, jeśli nim jest ojciec mój, kiedy zobaczę?

— Bądź spokojnym i czekaj, przysiągłem, więc dotrzymam.

Upłynęło od tej rozmowy dni kilka. Stefan znowu zapytał Selima o ojca.

— Nie chcą gadać, spodziewają się okupu.

— Ależ ja mam złoto...

— Nie, tak być nie może — rzekł Selim — i ja złota nie szczędziłbym, ale ono teraz na nic się nie przyda. Domyśliliby się łatwo, że mi zależy na tym jeńcu, nie daliby go...

— Gdybym go tylko mógł zobaczyć — mówił Stefan — potrzebne to jest, aby być pewnym, czy to on...

— Nie można, nie można — powtarzał stary Selim.

Stefan czekał, ale smutny był i niespokojny. Gorączka go paliła, wreszcie na dobre się rozchorował.

Kłopot to był dla Selima nielada. Lekarza bał się przywoływać, aby ten nie poznał w Stefanie polaka i nie rozgłosił tego po mieście. Tymczasem radzono choremu to i owo, ale gorączka nie ustępowała. Przy Stefanie czuwał Kerim, czasem sam Selim, ale ten często wydalał się z domu.

Stefan w gorączce majaczył i rzucał się a Kerim, który go polubił i przywiązał się doń,

nie wiedział co radzić, uspokajał ciągle, że ojca odnajdą.

Trwało to dość długo.

Pewnego dnia, już nad wieczorem, do pokoju w którym chory leżał, weszło dwóch ludzi. Stefan ich nie poznał, w gorączce będąc. Kerim spojrzał, powstał na powitanie Selima, uklonił mu się aż do ziemi, potem spojrzał na drugiego mężczyznę i wytrzeszczył zdziwione oczy. Usta rozwarł szeroko, na twarzy malowała się ciekawość, przeplatana radością. Postąpił parę kroków naprzód ku przybyłym, powtarzając półgłosem jakieś słowa niezrozumiałe.

Selim nie zważając na to, wziął owego towarzysza za rękę, prowadząc go do łóżka.

Nieznajomy zdziwiony był takim postępowaniem turka, ale do łóżka się zbliżył i spostrzegł chorego. W półmroku nie mógł zrazu poznać jego twarzy. Nagle krzyk wydobył mu się z piersi:

— Stefan!

Chory rzucił się gwałtownie, dźwignął na łóżku, na wpół nieprzytomnie spojrzał przed siebie i zawołał:

— Ojciec!

Rzucili się sobie w objęcia.

Stefan śmiał się i płakał. Ojciec także łzy miał w oczach, lecz nie rozumiał, co się koło niego dzieje. Wiedział, że ten, który go pojmał na wojnie rannego, obecnie sprzedął go jakiemuś poważnemu turkowi i z tym właśnie wszedł do tego domu, jak niewolnik. Syna tu spotkać nie spodziewał się.

Jak błyskawica przebiegła mu przez głowę myśl, że i Stefan popadł w niewolę. Smutno mu się zrobiło bardzo, łzy płynęły z ocz, tulił syna w ramionach, nie mogąc słowa przemówić.

Selim dał znak Kerimowi i obaj wysunęli się cicho z pokoju.

— Więc cię odzyskałem, ojcie mój drogi, odezwał się wreszcie Stefan.

— Dziecko moje — szepnął ojciec.

Stefan śmiał się z wielkiej radości.

— Zkąd ty się tu wzięłeś? — zapytał ojciec po długiemi milczeniem.

Stefan opowiedział mu wszystko.

Teraz dopiero zrozumiał pan Michał, dlaczego go tu przyprowadzono i co znaczy obecność syna. Obejrzał się po pokoju. Chciał pewno podziękować swemu wybawcy.

— Tyś chory — rzekł po chwili.

— To nic, ojcie ukoowany, teraz będę zdrów, gdy cię już odzyskałem.

Ojciec usiadł na krawędzi łóżka. Opowiadał swoje przygody. W bitwie ranny ciężko, został pojmany i uwięziony. Nic mu złego nie czynił jego właściciel, licząc na okup...

Teraz dopiero spostrzegł Stefan, że ojciec nie ma prawej ręki. Łzy mu się z ocz puściły.

A jednak byli szczęśliwi, bo wolni. Mieli niebawem powrócić do domu, jak tylko Stefan wyzdrowieje.

Selim nie mógł się wyprosić od podziękowania, które mu ojciec i syn składali.

— Nie dziękujcie — mówił — uczyniłem, co mogłem, szczęście mi się w tem, a teraz czekam na dopełnienie warunku.

Stefan objaśnił ojca do czego się zobowiązał.

Niebawem puścili się do ziemi rodzinnej. Kawał drogi towarzyszył im Selim, potem zdał ich na opiekę Kerima.

Przeprawiali się najczęściej nocami, w dzień kryjąc się przed turkami i tatarami, aż wreszcie dostali się szczęśliwie do granicy. Od tam już drogę mieli łatwiejszą. Jechali szybko

zmierzając naturalnie najpierw do pana Szczodrzyckiego, aby mu podziękować za jego dobroć i oddać Kerima.

Pan Wincenty płakał z radości, że tak się szczęśliwie udała wyprawa, do której on dopomógł.

— Jeden na tysiąc ledwo będzie tak szczęśliwym — mówił.

Zatrzymał gościa dwa dni, aby wypoczęli po trudach podróży, sam przodem wysłał posłańca do Rudki.

— Lepiej niech się na wasze przybycie przygotowują, nagle zjawienie się mogłoby ich uradować zbytnio, a radość jak smutek wielki szkodzą czasem.

Wreszcie pośpieszyli ojciec z synem ku domowi, odpoczywając mało. Pilno im było.

Któż opisze radość pani Reginy, gdy ujrzała męża i syna, tak cudownie prawie ocalonych. Pan Piotr z wnuczką czekał już w Rudce na przybycie drogich sobie przyjaciół. Sąsiedzi zjechali się, witali jeńców serdecznie, ciesząc się z ich ocalenia.

Stefan zabawił w domu krótko. Jemu pilno do króla.

Pojechał. Sobieski przyjął go łaskawie, zdziwiony wysłuchał opowieści o całej przeprawie Stefana, a wreszcie usłyszawszy prośbę, rzekł:

— Dam ci nawet dwóch turków, wybierz ich sobie sam. Należy się to słusznie, bo zacny Selim nie tylko ojca, ale i ciebie ocalił. Chwali się też i to, żeś nie omieszkiał wywiązać się z danego słowa. Postępuj tak zawsze, a kraj będzie miał z ciebie dzielnego obywatela.

Stefan wybrał dwóch jeńców tureckich, zamożnych i dostojnych, przyniósł im list królewski, zapewniający swobodny przejazd przez ziemie nasze, kazał się pokłonić Selimowi, a nawet na drogę obdarzył. Turcy dziwili się wielce temu czynowi szlachetnemu, a chwalili młodego rycerza, powróciwszy do Turcyi.

Spełniwszy ten obowiązek, śpieszył Stefan do domu, do rodziców, których tak długo nie widział.

Radość i szczęście zawitały do szlacheckiego dworku w Rudce. W spokoju wypoczywał pan Michał, po tylu trudach i cierpieniach. Pomimo braku prawej ręki gospodarował sprężysto, ciesząc się długo czerstwem zdrowiem.

Stefan wkrótce po powrocie z Turcyi opuścił dwór rodzinny, przenosząc się do Zarze-

cza, jako mąż nadobnej Zosi. Pan Piotr sam już nie mógł zajmować się gospodarstwem, bo często niedomagał ze starości.

Stefan z żoną często bywał u rodziców, to znowu oni u niego, używając prawdziwego, niczem niezamąconego szczęścia. W zimie przy kominku opowiadali mężczyźni przygody wojenne. Starzy patrzyli na Stefana, jako na godnego następcę, i dawnych cnót spadkobiercę.

Sąsiedzi pokazywali dzieciom swoim Stefana, jako wzór pocziwego syna, który z narażeniem życia szedł ratować ojca z niewoli.

Piękny to i godny naśladowania był przykład.



KONIEC.







AD-32798

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-32798



001-0037660-00